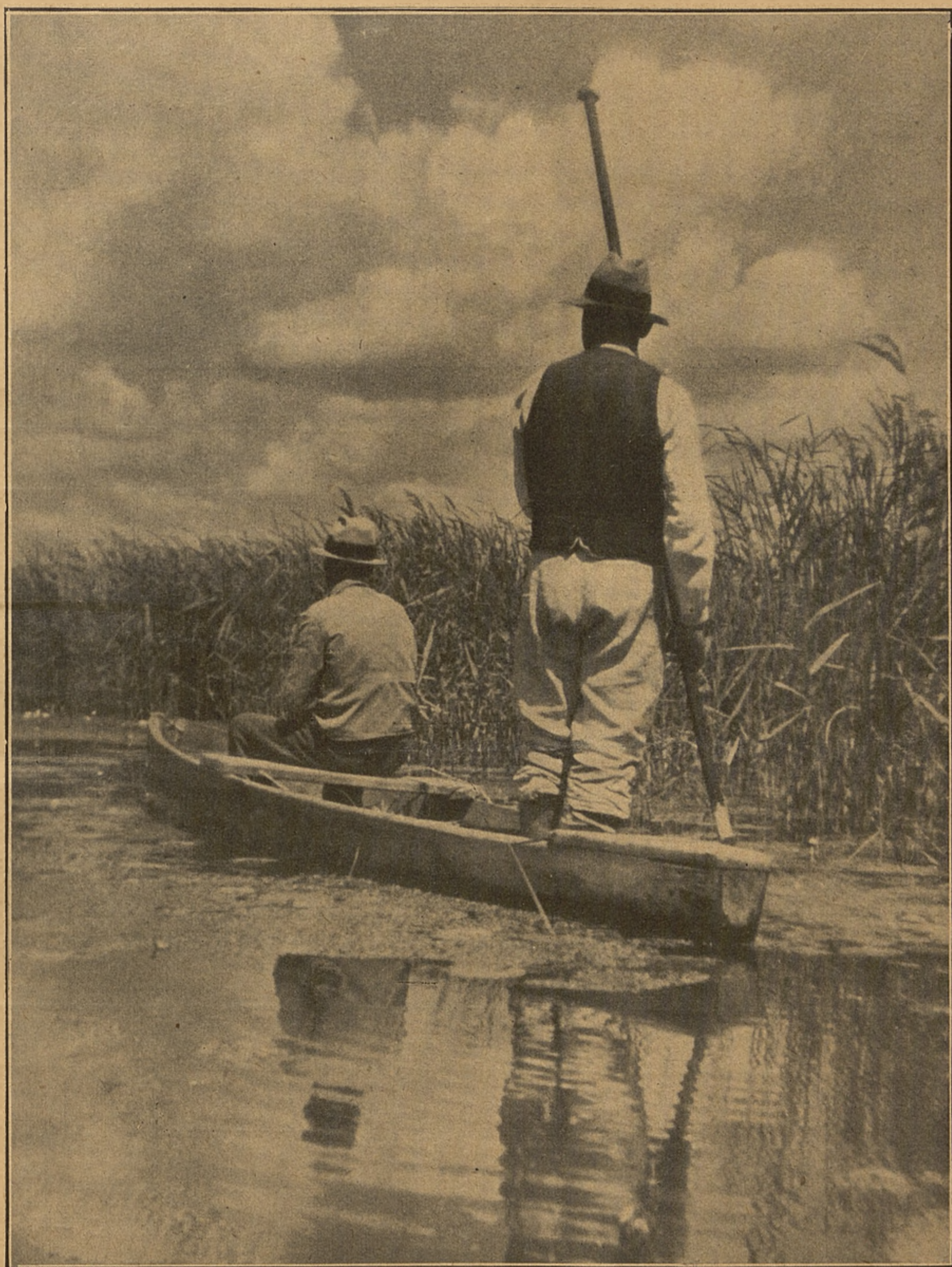
ŁOWIEC POLSKI



Na kaczkach. Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 23 (907) 10 SIERPNIA 1938 R.

CENA ZŁ. 1.–



Poszukiwanie ubitych na rannym zlocie kaczek. Fot. M. Borowski.

SZACOWANIE SZKÓD WYRZĄDZONYCH PRZEZ ZWIERZYNĘ I SPOSOBY ZAPOBIEGANIA IM

Ciekawy artykuł p. A. Śliwińskiego „W sprawie szkód wyrządzonych przez zwierzynę i odszkodowań za nie" (zesz. 18 i 19 „Ł.P.") porusza zagadnienie wysoce aktualne. Coraz częściej słyszy się skargi myśliwych na wzrastające w tempie przerażającem pretensje do wynagrodzeń za szkody, czynione przez zwierzynę, znane są liczne już przykłady zrzekania się dzierżawy łowisk z tego właśnie powodu, wiadome są drakońskie nieraz zarządzenia Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych, nakazujące masowy odstrzał dzików i jeleni, aby zapobiedz szkodom w lesie i w polu.

Podzielając całkowicie stanowisko, zajęte w poruszonej sprawie przez p. A. Śliwińskiego, chcę ze swej strony zatrzymać się na dwu momentach, ściśle z zagadnieniem szkód związanych. Pierwszy dotyczy metody szacowania szkód, wyrządzonych przez zwierzynę. Moment ten jest niewątpliwie najważniejszy w całej sprawie; poszkodowanemu przysługuje oczywiste prawo otrzymania odszkodowania za poniesione straty, zaś użytkownik polowania, uznając to prawo, pragnie jedynie uiścić odszkodowanie w wymiarze słusznym, odpowiadającym rzeczywiście poniesionej stracie.

I tu właśnie następuje rozdźwięk. Poszkodowany, którym najczęściej bywa drobny rolnik, skłonny jest do nadmiernego przeceniania poniesionych szkód w plonach swej ciężkiej pracy, a nierzadko ulega ponadto demagogicznym podszeptom czynników, zainteresowanych w pogłębianiu różnic klasowych: „panowie bogaci, bawią się, żądaj za swoją krzywdę więcej!"

Z drugiej strony, obowiązany do odszkodowania nie chce — a nawet gdyby chciał, nie powinien płacić więcej, niż równowartość przyczynionej szkody. Nie powinien, gdyż odszkodowanie nie jest jałmużną, a tylko słusznem wyrównaniem strat, jak również dlatego, że zbyt wysoko obliczone odszkodowanie zachęca do stworzenia z tego procederu: źródła zysku i nadużyć, zatruwających w następstwie współżycie pomiędzy właścicielem łowiska a jego sąsiadami.

Do uregulowania tych rozbieżności powołane są sądy rozjemcze, przewidziane w ustawie łowieckiej, lub też — jak to proponuje p. A. Śliwiński — zaprzysiężeni rzeczoznawcy. Ale orzeczenia zarówno sądów, jak i rzeczoznawców, mogą być zawsze kwestjonowane, jako dowolne, bo nie oparte na żadnych normach stałych, znanych obu stronom interesowanym.

Próbę usunięcia tego braku i stworzenia pewnych norm do szacowania szkód, czynionych przez zwierzynę, podjęto w Niemczech. W nakładzie wydawnictwa „Deutsche Jagd" ukazała się broszura p. Th. Herra p. t. „Wildschaden - Berechnungstabellen". Zawiera ona szereg tablic, osobno dla powierzchni świeżo zasianych zbożem, nasionami traw, czy zasadzonych roślinami okopowemi, a osobno dla zbóż, traw i okopowych już w stanie dojrzewania, w których, na podstawie ilości istotnie wysianego nasienia (sadzeniaków) lub też przeciętnie spodziewanego plonu z morgi pruskiej (1/4 ha), poda-

na jest w funtach (1/2 kg.) istotna szkoda w zasiewach czy zbiorach, przypadająca na każdy metr kwadratowy zniszczonej powierzchni. Obliczenie to przeprowadzone jest z wielką ścisłością i uwzględnia np. w ziemniakach i burakach rozstępy pomiędzy poszczególnemi sadzonkami, których przewiduje aż 7 kategorji od 30x30 cm do 50x50 cm. Każda tablica posiada ponadto wzór, a raczej przykład odnośnego obliczenia.



Mocny rogacz, ubity przez p. F. Polinarka z N. Tomyśla w Sępolnie, na piasczystej glebie. Wysokość łodyg 25,5 cm, obwód róż 21 cm.

Korzystanie z tablic p. Herra sprowadza się do następujących czynności. Poszkodowany, zgłaszający żądanie o odszkodowanie, deklaruje ilość wysianego nasienia, względnie wysadzonych sadzeniaków na 1 morgę — jeżeli chodzi o szkody w świeżo uprawionem polu, albo o ilość normalnie otrzymywanego plonu — jeżeli szkoda powstała przed zbiorami. Autor pozostawia pod względem określenia tych ilości całkowicie wolną rękę poszkodowanemu najpierw dlatego, że istotnie właściciel pola zna jego wydajność najlepiej, a powtóre, że tylko przy tem postępowaniu usuwa się możliwość następnego kwestjonowania wyników. W obecności poszkodowanego dokonywa się dokładny pomiar w metrach kwadratowych, powierzchni całkowicie zniszczonej, względnie tylko uszkodzonej częściowo, przyczem w tym ostatnim wypadku sprowadza się to również do odpowiedniej liczby metrów zniszczonych. Przy ziemniakach i burakach należy ponadto uwzględnić jaką przeciętnie część poszczególnych krzaków zwierzyna zniszczyła, gdyż dzik, odmiennie od świni domowej, zjada tylko kłącza górne, nie sięgając do głębiej leżących, co sprawia, że zniszczenie istotne sprowadza się do 1/3, 1/2, najwyżej 2/3 plonu.

Po ustaleniu tych dwóch momentów zasadniczych, resztę załatwiają już tablice p. Herra, dając zupełnie ścisłe liczby co do rozmiaru szkody, wyrażonej w funtach względnie w kilogramach. Przez zastosowanie cen rynkowych, istniejących dla danego płodu w danej okolicy, otrzymujemy równoważnik pieniężny szkody w zbiorach. Przy szacowaniu szkody w zasiewach, które mogą być jeszcze powtórzone, do ceny nasienia (sadzeniaków), dodać należy jeszcze koszt robocizny.

Jak widać z przytoczonego, zastosowanie podobnych tabel szacunkowych do oceny szkód czynionych przez zwierzynę wydaje się ze wszechmiar celowe. Wprowadzają one bowiem pewne normy stałe w miejsce dotychczasowej dowolności, a przedewszystkiem pozwalają zarówno poszkodowanemu, jak i odpowiedzialnemu za szkody, obliczyć sobie przedwstępne skutki finansowe akcji odszkodowaniowej. Być może, że w licznych wypadkach niskie kwoty, przypadające z tych obliczeń, skłonią obie strony do zakończenia sprawy w drodze ugodowej, bez uruchomienia ciężkiego aparatu rozjemczego, a temberdziej sądowego.

Aby jednak osiągnięto efekt pożądany, niezbędne jest, aby tabele szacunkowe posiadały uznanie stron interesowanych. W tym celu opracowanie ich dla naszych stosunków powinno nastąpić w ścisłem porozumieniu świata łowieckiego z organizacjami rolnictwa drobnego, a nadto otrzymać aprobatę władz administracyjnych. Opracowania i zaopatrzenia w tablice szacunkowe wszystkich gmin i poszczególnych wsi podjąłby się Polski Związek Łowiecki, a zadaniem władz administracyjnych oraz organizacyj rolniczych byłoby uświadomienie mas włościańskich co do celowości i słuszności kierowania się w swoich żądaniach o odszkodowania za szkody, czynione przez zwierzynę, temi właśnie tablicami szacunkowemi.

Ale sprawa szacunku szkód ułatwia tylko, ale nie załatwia zagadnienia szkód, czynionych przez zwierzynę. Dużo poważniejsze znaczenie ma jeżeli nie zapobieżenie całkowite tym szkodom, praktycznie niemożliwe do osiągnięcia, to przynajmniej poważne ich zmniejszenie, niewątpliwie osiągalne.

W 1936-37 r., według danych rocznika „Deutsche Jaegerschaft", zdobyto w Niemczech zwierzyny łownej użytkowej o wartości 35 miljonów R.M. Równocześnie wypłacono odszkodowania za zniszczenia wyrządzone przez zwierzynę 1.9 milj. R.M., czyli 5.5%. W sumie tej nie uwzględniono jednak szkód poczynionych przez zwierzynę we własnych łowiskach osób prywatnych, a przedewszystkiem — dużych zniszczeń w kulturach leśnych. W roczniku brak odnośnych danych statystycznych dla całych Niemiec, ale pewne światło na to zagadnienie rzuca sprawozdanie Zarządu lasów państwowych w Prusach.

W 1935 r. wpływy z dzierżawy polowań stanowiły 1.455.395 R.M., wydatki zaś związane z utrzymaniem łowisk (ogradzanie terenów, przygotowanie pól, łąk i paśników dla dokarmiania zwierzyny, wypłata odszkodowań) — 795.615 R.M.*) czyli dochód czysty uczynił — 695.779 R.M. Ale od tej kwoty potrącić należy wydatki na cele związane z ochroną przed zwierzyną kultur leśnych, które w tym okresie stanowiły 1.002.951 R.M. Wówczas okaże się, że gospodarka łowiecka w pruskich lasach państwowych jest — wskutek konieczności walki z niebezpieczeństwem szkód czynionych przez zwierzynę — deficytowa. Ten stan rzeczy zachodzi przypuszczalnie i w innych krajach Rzeszy, to zaś łącznie z odszkodowaniami, wypłaconemi przez użytkowników polowań, daje pojęcie o ogromie tych zniszczeń.

Jeżeli się ponadto rozważy, że zniszczenia w zasiewach i w lasach są pomniejszeniem majątku narodowego, że osłabiają zdolność aprowizacyjną kraju i że równocześnie wybitnie pogarszają stosunki łowieckie, to logicznie nasunąć się musi pytanie, czy nie możnaby — i w jaki sposób — osiągnąć poważniejszego zmniejszenia zniszczeń, czynionych przez zwierzynę.

Nad rozwiązaniem tego zagadnienia zastanawia się w „Deutsche Jagd" p. von Bodungen i przychodzi do przeświadczenia, że jest to osiągalne. Twierdzenie to opiera autor na spostrzeżeniu, że w czasach dawnych zjawisko poważniejszego niszczenia zasiewów czy drzewostanów przez zwierzynę nie istniało i że nawet obecnie w pewnych łowiskach Niemiec ono nie występuje. Ma to mianowicie miejsce tam, gdzie ingerencja ludzka nie naruszyła jeszcze naturalnych

*) Fałszywy rachunek. Ta pozycja obciąża dzierżawcę polowania. (Przyp. red.).

warunków współżycia zwierzyny z otoczeniem roślinnem, gdzie aktualny ilostan zwierzyny ma zapewnione warunki dostatecznego pożywienia i nie potrzebuje szukać go nazewnątrz, lub też zastępować przez ogryzanie kory czy młodych pędów drzew.

Przywrócenie we wszystkich łowiskach podobnej naturalnej równowagi warunków bytu wymagałoby zaniechania w ciągu okresu życia wielu pokoleń ludzkich intensywniejszej eksploatacji lasów. Ale osiągnięta ona być może również dużo szybciej przez właściwe zarządzenia natury hodowlanej, idące w dwóch kierunkach: przedewszystkiem, podniesienia zdatności odżywczej, pastewnej łowisk, będącej w stanie zabezpieczyć zwierzynie warunki zadowalającego pożywienia, zaś w tych wypadkach, kiedy się to okaże nieosiągalne — redukcji ilostanu zwierzyny przez odstrzał.

Oczywiście przekształcenie łowiska w ośrodkach naprawdę samowystarczalnych nie może być improwizacją, lecz musi opierać się na ścisłej kalkulacji naukowej, podobnie jak to ma miejsce w hodowli zwierząt domowych. Trzeba dokładnie stwierdzić zwierzostan łowiska, poznać stosunek płci i wieku każdego gatunku zwierzyny, ilości potrzebnych do normalnego rozwoju tej zwierzyny składników paszy i dopiero na tej podstawie określić powierzchnię i rodzaj niezbędnych dla niej pastwisk. Ponieważ literatura łowiecka nie posiada jeszcze prac bliżej precyzujących te warunki, można narazie wzorować się na metodach, stworzonych w hodowli bydła.

W hodowli tej norma dzienna paszy suchej na każde 1000 kg. wagi żywej określona jest na 25 kg. Normę tę zapewnić może w gospodarce hodowlanej powierzchnia pastwiska równa 1.75 ha. Ponieważ zwierzyna nie wyjada pastwiska tak doczysta, jak bydło, oraz z uwagi na potrzebę forsowniejszego dożywiania zwierzyny po okresie rui, a także podczas ciąży i karmienia, tę normę pastwiska łowieckiego należy podnieść do 2 ha na każde 1000 kg. żywej wagi. Jeżeli zatem łowisko posiada np. 50 sztuk jeleni o średniej wadze 90 kg., 200 sarn o wadze 25 kg. i 50 sztuk dzików o średniej wadze 70 kg., to dla utrzymania tego zwierzostanu o łącznej wadze 13 tys. kg. łowisko musi posiadać 26 ha powierzchni pastewnej.

Jako powierzchnię pastewną uważać należy przedewszystkiem znajdujące się na terenie łowiska łąki i polany. Aby ich wartość naturalną podnieść, trzeba je walcować 3 razy rocznie, co zapobiega łysinom z powodu tratowania łąki przez zwierzynę, i zasilać nawozem sztucznym. Brakującą do normy 26 ha powierzchnię pastewną należy tworzyć sztucznie przez zakładanie pólek, zasiewanych wyłącznie roślinami pastewnemi wieloletniemi, nie wymagającemi regularnej uprawy corocznej, a jedynie poprawy. Dokarmianie zwierzyny podczas wielkich mrozów czy śniegów powinno się odbywać wyłącznie płodami otrzymanemi z tych pólek i łąk, bez dowozu paszy z zewnątrz, w myśl zasady, że łowisko powinno samo wyżywić swoich mieszkańców *). Pólka muszą być rozrzucane możliwie szeroko po całem łowisku, aby zapobiedz skupianiu się zwierzyny w stada, co bywa tak niebezpieczne w razie wybuchnięcia jakiejś zarazy, a zmusić je równocześnie do ruchu.



Ulubieniec J. E. Ks. Biskupa Bukraby. Fot. J. Hołyński.

Przy skrupulatnem przeprowadzeniu tego rodzaju inwestycyj na terenie łowiska i przekształceniu go w kompleks samowystarczalny, niebezpieczeństwo wychodzenia zeń zwierzyny w poszukiwaniu karmy sprowadzone będzie do wyjątkowych zupełnie przypadków. Zaoszczędzone w ten sposób koszty odszkodowań pójdą na umorzenie kosztów zakładania pólek, zaś czystym zyskiem właściciela czy użytkownika łowiska będzie wyzbycie się zmory spraw o odszkodowania i ułożenie się poprawnych stosunków z sąsiadami.

J. GIEYSZTOR.

*) To stanowisko zawsze było bronione przez redakcję „Łowca Polskiego". Vide art. „W sprawie dzierżawy polowań w lasach państwowych", red. W. Garczyńskiego — Ł. P. Nr. 5, 6, 7 i 8 z r. 1935. (Przyp. red.).

Żórawie

Nad zamgloną łąką, po zroszonej trawie
niebosiężnym hymnem płynie zew żórawi...

*

Płynie pomnożony wielokrotnem echem,
płynie wzwyż, porwany mocnym Puszczy dechem!

*

Mgła na skraju leśnym skłębia się i ściele,
strojąc senną puszczę w powój zwiewnej bieli...

*

Tam — poprzez przejrzyste nocnych tchnień opary
w drżącej mgle majaczą dwie żórawi pary!

*

Na śródleśnem bagnie — gdzieś zupełnie blisko —
mieści się żórawi wielkie gniazdowisko.

*

Stamtąd ponad grondem, ponad stropem boru
hejnał potężnego wzbija się klangoru!

*

Słychać — w odpowiedzi mknące pod niebiosa —
stąd, ze skraju lasu, echo czterogłosu...

*

Zagrał wódz pobudkę — szybki rozkaz wydał!
Ptaki w dal unoszą wolne ruchy skrzydeł.

*

Lecą już żórawie hen ku gniazdowisku,
skąd, jak zdrój przeczysty, dźwięczny klangor tryska...

*

Nad zamgloną łąką, po zroszonej trawie
już nie płynie srebrny tęskny zew żórawi...

W. L. von FALKENAU.

MIGAWKI Z WOŁYNIA. – ZNÓW NA WOLNOŚCI

Czujemy się jak więźniowie. Szare mury stolicy stoją zwarte, asfalt ulic parzy stopy, dzwonią dzwonki tramwajów, zgrzytają szyny, jęczą klaksofony, huczy miasto. Dusimy się.

Pewnej nocy uciekamy, jak spiskowcy. Wszyscy są z nami w zmowie: szofer, pędzący w oszalałym tempie na dworzec wężowym zygzakiem ulic; bileter, wypuszczający nas na peron, jak ptaki z klatki; wreszcie wielki smok, pociąg, ziejący parą, błyskający czerwonemi ślepiami, który nas pożera, by potem wypluć na małej stacyjce. Jest ona tak małym postojem dla pędzącego potwora, jak życie nasze w porównaniu z wiecznością. Mgnienie, zgrzyt, świst i stajemy w obliczu szumiącego lasu. Chylą się w pokłonie czuby drzew, wiatr przynosi zapach sosen, macierzanki i tego czegoś nieuchwytnego — ziół, czy też kwiatu paproci? Otworzyły się drzwi wolności, oczy nawykłe do murów chłoną przestrzeń otwartą, wbijają się w błękitne niebo.

Idziemy za leśnym człowiekiem, który pomyka chyżo w postołach, jak dziki zwierz — od niego przejął zwinność ruchów.



Gajówka. Fot. Z. Kelus - Lipkowska.

Lecz oto jesteśmy; widać już jakby szary hełm z kitą pióropusza — dach leśniczówki pod drzewem. Ganek - przyłbica kryje tajemnicę wnętrza. Wchodzimy, w nozdrza uderza zapach świeżego chleba i barszczu, dolatuje on z izby, w której mieszka Leon leśnik z rodziną. Z drzwi uchylonych bucha ten swojski zapach chaty wołyńskiej. W „pokojach", szumnie tutaj nazywanych, zapach siana, w zwycięsko wypchanych brzuchach sienników, miesza się z zapachem dawno niewietrzonej izby, od sufitu zwieszają się sznury równiutko nanizanych grzybów, odwróconych białym zamszem spodu — podarunek od pastucha.

Wychodzę przed dom — z za płotu ujada gończak „Nero". To od „Zagraja" — oznajmiają mi dzieci — jego przejechał pociąg, kiedy się za zającem zapędził. Piękna śmierć, myślę sobie — chwila upojenia, sekunda zachwytu, a może jeszcze jeden skowyt zwycięskiego gonu — i już koniec.

Smok cywilizacji pomógł szarakowi.

Zdaleka słychać metaliczny podźwięk — to koszą „hały". Złoci się i faluje trawa, równiutką falę pokornie się kładzie pod srebrzystem ostrzem. Łąka w szeregach zakosów wygląda, jak morze rozfalowane — złudzenie optyczne potęgują kępy mchu, białą skłębione pianą. Nozdrza zachłannie piją ostrą woń. Stoimy cicho, nastrój świąteczny ogarnia nas, zmęczona myśl usnęła, cichem ukołysana dzwonieniem. Tutaj możemy odpocząć i dumać sennie w rytmie modlitewnym dzwoniących muszek i komarów. Zgrzyt kosy budzi znienacka. Postać, rytmicznie, płynnie zagarniająca jednym ruchem łany traw, odcina się bielą. Płócienna wycinanka na zielonem tle lasu.

Słychać cichy syk i widać, jak dym kłębami powoli wznosi się w niebo — to płonie podpalone gniazdo os; w starym pniu, prawie na ziemi, miały swój rój. Oszalałe krążą nad płomieniem, ciemną chmurą unoszą się w błękitny dym. Uciekam — za mną goni śmiech kosiarza. On sam został, kłują go żądła oszalałych z rozpaczy os, ale nawet kosić nie przestaje: „Ne bojuś" — woła. Patrzę na to z podziwem: czary, czy co? Nagle obrośnięty po same oczy Poleszuk zaczyna machać rękami, rzuca się w bok i jednym zamachem wbija kosę na sztorc.

Stajemy w ucieczce. Na świeżo skoszonej fali traw, coś skacze i wije się pierścieniem, jak sprężyna w skurczu i rozkurczu; cicha zemsta lasu, vendetta odwieczna dla leśnego człowieka — żmija.

— A gdy się takiego wroga zabić nie uda, co wtedy? — pytam, patrząc na czarny tułów z jaśniejszą pręgą na grzbiecie, leżący na trawie.

— Albo umrze człowiek, albo nie — brzmi filozoficzna odpowiedź.

Już wieczór przyszedł cichemi krokami. Spać trochę niewygodnie. Miejskie kości, przyzwyczajone do giętkich sprężyn, walczą z uporem napchanego, grubego, jak globus, siennika. Zlatują się ćmy, muchy uwzięły się na twarz, jakiś zabłąkany komar rzempoli monotonnie swą piosenkę, zapożyczoną od brzuchatego samowaru, lśniącego w kącie. Zasypiam jednak prawie natychmiast w wygodnej koleinie, wybitej własnem ciałem. Zaczyna się prawdziwie urlopowe życie: bez budzika, ósmej godziny i wstawania.

Świeżość poranka przedziera się przez rozbite okno — tak u nas w Warszawie pachnie tylko po burzy — więc czasu szkoda. Słońce walczy z ostatnią mgłą i budzi rakietą świetlistą, pieszczącą twarz, jak upragniona, dobra ręka. Jakaś kwoczka gdacze histerycznie. Z okna widać małe podwórko wyraźnie. Cielak odłączony od matki, z widełkami na nosie, by nie mógł ssać, obwąchuje leżącego kundysa. Myje się chłop przy studni, nabiera do ust głęboki haust wody i zamaszystym strumieniem wypluwa na ręce. Ranna ablucja, przestrzegana na Wołyniu; wiek XX nie poczynił żadnych zmian, tradycja silniejsza jest, niż nowe prądy higieny. Niedyskretnie przyglądam się nieskomplikowanej tualecie. Delikwent ręcznika nie potrzebuje, ręce wyciera w płócienne spodnie, twarz sama obeschnie. Ale okazuje się, że to nie koniec. Gentleman wołyński wiesza lusterko blaszane na żerdzi płotu — odbija się w niem twarz pokryta aż do oczu rudawym zarostem. Parę szybkich ruchów i zaczynają się wyłaniać ładne rysy twarzy; patrzę na to z przejęciem. Jestem świadkiem nieomal cudu. Koniec złamanej kosy, zastępujący żyletkę, zrobił swoje, jakby narodziny nowego człowieka. Skończone sianokosy, można więc zgolić brodę, nie zaszkodzi to już trawie, a zarost chronił od komarów. Zato kąpać się nie wolno! Broń Boże! Hreczka przekwitła, więc możnaby bardzo zachorować. „Traścia" najmocniejszego powali i każe całą zimę przeleżeć, szczękając zębami na piecu, więc poco wyzywać złe moce!

Staram się wkraść i przemycić w życie podwórka, częściowo się to udaje, papieros robi swoje. Tylko płowy kundel Margas ujada co sił, śmierdzi mu jeszcze moja miejskość. Zaczyna się dyplomatyczna rozmowa o zbiorach, o pogodzie, o... wojnie. Echa hiszpańskie docierają aż tu, przywozi je Żyd — sklepikarz, wraz z machorką i słoniną.

Pytam Leona czego z wieczora psy szczekały.

— A kto ich wie! Aha! prawda, była przyczyna. To przysłali z posterunku policji, pani komendantowa zachorowała na zęby — strasznie ją boleli, więc prosiła, czy państwo nie mają „flita".

— Czego?

— Ano, flita, takiego lekarstwa!

Mój Boże, że też człowiek nie wie o tak cudownym środku! Flit od moli leczy tu znakomicie ból zębów, podobno „pić też nie szkodzi". A więc opatentować ten nowy lek, dobrodziejstwo dla spróchniałych pieńków i dziurawych zębów. Lecz może trzeba mieć do tego „wytrzymałość i zdrowie wołyńskie"?

Zjadamy śniadanie. Smakują świeże „młyńce" — (naleśniki z chlebowego ciasta ze słoninką), przysmak! A potem dalej w świat. Parę kroków i już las stoi otworem. Co za rozkosz zanurzyć się w tej pozornej ciszy, stworzonej z pracowitego brzęczenia pszczół, dzwonienia komarów, ćwierkania koników polnych. Wchłonąć zapach wrzosu, cierpką woń „bagna" i żywicy. Przestukał dzięcioł, zakwilił jastrząb, prześlizgnęła się wiewiórka. Słychać głośny skrzek — to zielona żaba, siedząca na drzewie, jak barometr, oznajmia nowinę.

Słońce pali, do głowy uderza silna woń, wielka senność ogarnia członki, serce bije mocno. Drga ogrzane powietrze. Nagle zdaleka słychać cichy turkot. Czyż to wóz jedzie? Nie, to sygnał burzy. Czarna, ołowiana chmura zawisła na horyzoncie. Pierwsza kropla już upadła.

Za malutkiemi oknami ulewa — pławi się cały świat w rozszalałej powodzi, ściana ukośnie pędzonych strug deszczu dymi się rozperloną kurzawą. Błysk, grzmot i pluskanie rytmiczne, jakby klaskanie kijanką. Na kałużach podskakują podłużne lejki banieczek — podobno wróżba rychłej pogody.

Przed dom wyruszyło białe wojsko — spragnione gęsi wyciągnęły szyje i rozchyliwszy dzioby, piją wprost z upustów niebieskich. Trzepoczą się wielkie skrzydła; pod rylcem smug deszczowych białe puchowe szlafroki zmieniają się w wizytowe suknie — poczciwe gęsi nabierają linji. Jeszcze jeden turkot odległy... Cichnie ulewa, po rozczochranej czuprynie dachu srebrzyste krople niżą się na słomki. Burza umknęła za lasy.

— Jakby noc ciepła i z tumanem, toby byli grzyby — mówi Leon, zadzierając głowę w niebo.

— Czy będzie jutro pogoda? — pytam.

— Kto jego wie — pada zawsze ta sama flegmatyczna odpowiedź. — Grzyby będą, tylko wstać do słonka.

Wstać do słonka, to znaczy iść o świcie po mokrej od rosy ziemi. Jeszcze tuman stoi, szary stróż poranka. Oczy-szpiegi błądzą po mchu. Najlepiej patrzeć nad drogą; tam, koło pieńka, bronzowy stoi samotnik, lecz pozory mylą, trzeba szukać bliźniaka. Niestety nie widać go, może ktoś już zerwał zamszowego brata, albo on się przyczaił i kpi z nas w żywe oczy. Migają przed nami bose pięty synków Leona, oczy niechętne do czytania, rozbłyskujące uporem, cierpliwie wypatrują. Są żółte kurki, czerwone, jak krew, syrojadki, aksamitne babki i kleiste maślaki. Jego tylko trudno znaleźć — szepczą chłopcy. Jego, króla — borowika.



Zbiór siana. Fot. Dr. A. Kelus.

Rozmowa się nie klei, łobuzy szukają grzybów z przejęciem. Naturalnie pytamy ich o szkołę i nauczyciela. Czy dobry, czy nie? Słowem szereg bardzo niepedagogicznych pytań. Okazuje się, że „wuczyciel" zły. Dlaczego?

— Bo bajki gada, a jego rzecz uczyć!

Zabawny powód — dzieci przecież lubią bajki. Okazuje się, że nie te, miejscowe, które wychowane na stokroć piękniejszej bajce obcowania z naturą. Gardzą wymysłami ludzkiej wyobraźni.

— Bajki gada, a nie uczy; dobry jest, ale biłby, toby lepiej słuchali — taka jest filozofja małego Poleszuka.

ZOFJA KELUS-LIPKOWSKA.

TEN STO PIERWSZY

Gdy znalazłem się z moją wyżlicą Muzą na błotach wioski, słusznie i bez przesady zwanej „Mokre", zapadał już sierpniowy wieczór. Mimo pośpiesznego marszu nieco się spóźniłem, bo można tu było jeszcze napotkać stadko równie spóźnionych podlotów, niekiedy parę koczujących dubeltów, a kszyków—coniemiara. Moczary, ciągnące się z obu stron szosy, były rozległe i prócz jeziorek, zalewów i topielisk mieściły w sobie wielce skomplikowaną sieć rzeczek, dawno porzuconych łożysk i rowów, w jaknajlepszej wierze niegdyś wykopanych.

Pozostawała mi jeszcze możliwość zlotów i przelotów kaczych. Ulokowałem się z Muzą w rozłożystym krzaku łozy, obok pierwszego z brzegu bagienka. Blady opłatek księżyca przeglądał się w złotawej, zamarłej powierzchni sąsiedniej rzeczki. Wierzchołki malowniczych trzcin chwiejnie majaczyły na purpurowem tle zachodzącego słońca, ich wydłużone cienie zygzakami przekreślały całą szerokość toni. Gdzieś na odległem zakolu czerniał w skrócie mostek z nieruchomą sylwetką wędkarza. Nagrzane za dnia bagna rozsiewały mocne wonie dokoła, jak sięgnąć okiem, słały się wilgotne opary, zaś w nich tonęły bez ratunku stogi i kopice siana, fantastyczne krzaki i zadumany, samotny koń. Reszta świata wydawała się zgoła nierealna i problematyczna — niewątpliwe dobrodziejstwo, z którego korzysta jedynie myśliwy i miłośnik natury.

Z poza rzeczki, żałośnie kwiląc, nadleciała czajka wystylizowanym, umiarowym ruchem skrzydeł. Dłuższą chwilę ważyła się nad mojem stanowiskiem, rozgłaszając niecną zasadzkę wszem wobec i każdemu zosobna, aż wreszcie dała za wygraną i pożeglowała na nocleg w świadomości spełnionego obowiązku. Jeszcze bekasy wałęsały się z miejsca na miejsce, intrygując Muzę swoim furkotaniem. Wnet i one ucichły i przez dłuższy czas słychać było tylko minorowe, pełne smętku brzęczenie głodnych komarów.

Wreszcie z wyżyn ciemniejącego nieba dobiegły mych uszu oczekiwane poświsty. Pierwsze forpoczty krzyżówek szły górą i ostrożnie; półgębkiem pokwakując, zataczały duże koła, to znów nagle zniżały lot

i urządzały hałaśliwie próbne zapady, poczem znikały w mglistem przestworzu. Ale gdy niebo pociemniało o parę tonów, gdy purpurowa smuga na zachodzie rozpłynęła się w złotym bezmiarze, kaczki jęły wprost atakować moją kryjówkę. Z szumem i świstem przelatywały nademną, niby zjawy, sadowiąc się dokoła niefrasobliwie i zmuszając Muzę do ciągłych zwrotów. Rzadziej śmigały swym jaskółczym lotem cyranki. Zacząłem się opędzać — zrazu dość chaotycznie. I od strony szosy odezwały się dwa pośpieszne strzały. Konkurencja nie zasypia gruszek w popiele — trzeba było strzelać rozsądniej.

W rezultacie strąciłem dużą krzyżówkę, mającą zamiar spożycia kolacji o kilkanaście kroków od mego stanowiska, na pięknie wysrebrzonej smudze. Spadła z łopotem i wrzaskiem a po chwili Muza wetknęła mi niemal do ręki jej mokry, stygnący już łebek.



Wśród bagien. Fot. J. Hołyński.

Jeszcze kilka pudeł, jeden szczęśliwy dublet (i jedno i drugie nazwałbym chwilowym tryumfem ciemności i przypadku nad słońcem i sprawiedliwością), poczem skierowałem się ku szosie, z trudem unikając poważniejszych kąpieli i płosząc co krok krzyżówki i bekasy.

Na szosie zamajaczył czyjś potężny cień.

— Hallo! — ozwał się groźny baryton — proszę nie strzelać!

— Zgoda — odparłem pojednawczo — chyba że z gorączki eksplodują mi naboje w kieszeni.

— Ha—ha! No, to niema obawy. Jestem Grzmisław Trąbkiewicz, były kapitan landwery austrjackiej.

— Ale kaczek — co? — mówił szybko, przytrzymując moją rękę wzorem tych wszystkich, którzy nigdy nie zdołali dowoli się nagadać i dla których świat jest stanowczo zamało zaludniony.

Zarekomendowałem się i ja. Okazało się, że już raz dopełniliśmy tej miłej formalności. Polowaliśmy bowiem ostatniej zimy na terenach miejscowego klubu myśliwskiego: on, jako członek, zaś ja, jako gość. Przypomniałem sobie również, z jaką niebywałą energją wywalczył sobie pan kapitan tytuł własności do pewnego zajączka, na którego mizerne, pełne udręki życie dybało współcześnie aż trzech myśliwych.

Wiedziałem też z opowiadania strażnika łowieckiego klubu, Hieronima, że mam przed sobą wyjątkowego pudlarza („absolutnie nie może do niczego trafić"), co znów — nie wiem dlaczego — kojarzyło się w moim umyśle z pojęciem nader miłego osobnika. I co za piękne nazwisko myśliwskie—Grzmisław Trąbkiewicz"!

Kapitan z galanterją poczęstował mnie papierosem.

— Widzę — zauważył — że pan nie dziurawił pogodnego nieba tak, jak ja... Tłuste kaczki w tym roku. Ale co to... nie ma pan furmanki? Proszę, niech pan siada — jakoś się zabierzemy.

Zbliżyliśmy się do wózka, zaprzężonego w tęgiego srokacza. Z wiązki słomy sterczał nieruchomy kapelusz woźnicy. Usadowiliśmy się po wielu certacjach.

— Dobrze — odsapnął kapitan — ale gdzie to moje trofeum? Zabiłem coś takiego — sam nie wiem co. Stójcie, Marcinie! Zaczęło się gmeranie w siedzeniu i pod niem, zapałki gasły jedna po drugiej, pryskając iskrami. Wreszcie słoma się zatliła, zmuszając Muzę do natychmiastowej ucieczki. „Viribus unitis" (o ś. p. Austrjo!) ugasiliśmy ogień i wreszcie odnaleźliśmy zdobycz. Tajemnicza istota okazała się derkaczem — w dodatku sprasowanym na kotlet. Wysłuchałem dokładnego opisu szczęśliwego wydarzenia, usiedliśmy i furka żwawo potoczyła się ku miastu, przyjaźnie mrugającemu do nas girlandami światełek.

Turkot kół najwyraźniej pobudzał elokwencję mojego kapitana. Nie bez przeszkód dowiedziałem się że — jak się wyraził — „od wybuchu Polski" przebywa na terenie byłej Kongresówki, że tutaj się ożenił, że cioteczny brat żony dlatego tylko nie został ministrem poczty i telegrafów, że w czasie zmiany gabinetu bawił na urlopie i polował na te... oj.. jakżeż im tam... był u niego cugsfirer o tej samej nazwie... no... na literę „b", pochodził z Sambora, umarł później na tyfus...

— Dubelt — poddałem bez namysłu.

— O, o — na dubelty — ucieszył się kapitan. — Ale jak to mówią, co ma wisieć — nie utonie — może jeszcze nie raz zostać ministrem. Takie konceptowe kawałki odwala, że oko bieleje. Niesłychanie uzdolniony człowiek.

— W czasie wielkiej wojny — ciągnął kapitan — wszystkie urlopy spędzałem w Stanisławowie. Miałem tam stryja hofrata c. k. skarbu, wielkiego myśliwego. Tam to upolowałem sto koziołków — jak obszył.

Zerknąłem z pod oka na mego interlokutora. Sto złotych oszałamia człowieka w tych ciężkich czasach, a cóż dopiero sto koziołków. Pomyślałem sobie w skrytości ducha, że zarówno blagę jak i prawdę trzeba niekiedy przyrządzić — inaczej może przestraszyć. Wprawdzie podczas wojny wszystko się liczy podwójnie, jednak... Zacząłem się kręcić na wózku — nie lubię cudownych historji na noc.

Ale kapitan uspokoił moje obawy z łatwością: sprawa była prosta, jak „rzemienny dyszel". Codziennie po obiedzie wychodził sobie ze sztucerem do lasu, a że kozłów było „jak pestek", więc „pak" i po krzyku. No i wojna trwała przecież cztery lata...

Tej wiosny ze sto pierwszym nie poszło tak łatwo. Właściwie ubił go, ale nie wziął — ta-ta-ta... Dzięki temu, że turkot wózka wzmógł się pod miastem znacznie i zagłuszał opowiadanko, że wieczór był piękny i w dodatku kapitan przytrzymywał mnie za połę — dosiadywałem, jak zgoniony zając w kotlinie, myśląc zresztą o swoich sprawach i kiwając głową w przełomowych momentach. W pewnej chwili słyszę:

— Mówię panu, zawył...

— Kto — ocknąłem się — pies?

— Gdzietam — kozioł — ale mówię panu, zawył aż — aż — znaczy się dostał kulę — co? nie?

Zatrzymałem furmana, wręczyłem mu napiwek, serdecznie uścisnąłem dłoń zdumionego kapitana, wysiadłem z wózka i poszedłem naprzełaj przez pachnące kminem zagony.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

O SZTUCE UKŁADANIA PTAKÓW DRAPIEŻNYCH DO ŁOWÓW

(Ciąg dalszy).

Drapieżnik wychowany od pisklęcia w domu jest przeważnie nadzwyczaj miły, łagodny i posłuszny. Z wyjątkiem okresu godowego, możemy z nim polować bez obawy, że będzie usiłował uciec. Gdy zgubi się gdzieś w terenie, to nawet po tygodniu i dłużej da się łatwo złapać. Na polowaniu cechuje go duża odwaga, już po krótkim treningu gotów bić wszystko, co mu się każe czy pokaże — zaczynając od wróbla, kończąc na owcy. Te wszystkie niewątpliwie poważne zalety nie są w stanie zrównoważyć tego, że nawet najlepiej oblatany, a następnie trenowany przez nas młodziak, nie będzie miał nigdy tej siły, zręczności, a przedewszystkiem umiejętności łowienia, co ptak dziki, który chociaż 2 — 3 miesiące prowadził samodzielny tryb życia.

W związku z tem, utrzymuje się mniemanie, tak niegdyś jak i dzisiaj, że naprawdę dobrego, „pełnowartościowego" ptaka łowczego można uzyskać jedynie układając dziczki, to zn. ptaki wyrośnięte, które już samodzielnie przez pewien czas polowały. Z tych względów uważam, że zaznajomienie się z metodami łowienia i układania takich drapieżników jest konieczne, nie mówiąc już o tem, że przecież niezawsze mamy warunki do hodowli młodych ptaków, a wogóle niezawsze uda się nam w stosownym czasie znaleźć pisklęta.

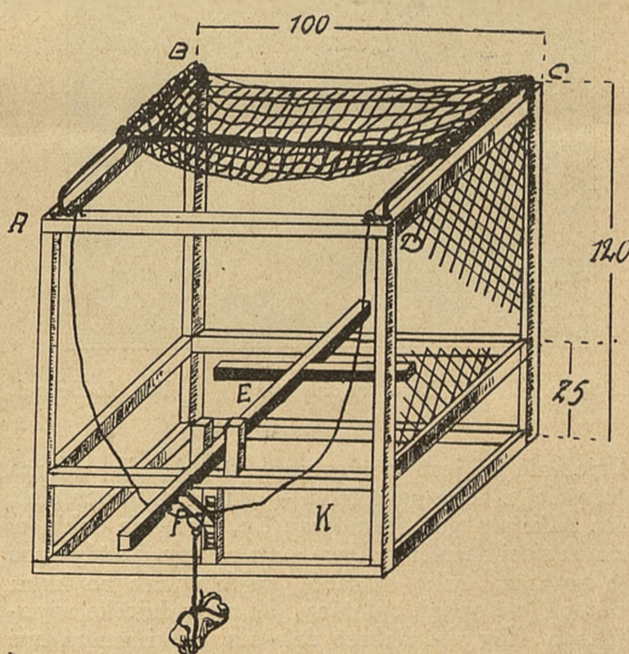
Schwytanie dorosłego ptaka, szczególnie jastrzębia, nie przedstawia naogół większych trudności — tresura zaś również nie jest znów tak bardzo skomplikowana, jak to sobie przeważnie wszyscy wyobrażają. Czasami w szczęśliwych warunkach, gdy trafimy na podatnego, inteligentnego ptaka, możemy ułożyć go w ciągu 3—4 tygodni tak, że będzie z nim można już wcale nieźle polować.

Do chwytania drapieżników służą pułapki samoczynne (dla naszych celów tylko takie, które chwytają ptaki nieuszkodzone — *cave* — żelaza!), sieci samoczynne, lub ściągane przez łowiącego, potrzaski, wreszcie — lep.

Połowy najlepiej jest prowadzić w czasie ciągu drapieżników, to znaczy we wrześniu i w październiku. Wcześniej, niż w połowie sierpnia, lepiej jest nie łapać, gdyż wówczas chwytają się przeważnie zbyt młode ptaki, które nie mają jeszcze należytego doświadczenia łowieckiego, stanowiącego, jak wiadomo, najistotniejszą wartość dziczka. Po ciągu, zimą, opłaci się łowić tylko na upatrzonego, gdy np. zauważymy, że jastrząb lub sokół poluje stale w jakiejś miejscowości, lub dowiemy się, że regularnie odwiedza czyjś gołębnik lub kurnik.

Jeden z najlepszych sprzętów do połowu drapieżników, w pierwszym rzędzie jastrzębi i krogulców, stanowi pułapka przedstawiona na rys. 1. Jest to, jak widzimy, klatka o ramach drewnianych, z otworem wejściowym z góry. Wysokość pułapki wynosi 120 cm, szerokość 100 cm. Budowa jej jest bardzo prosta, tak że każdy z łatwością może ją sam wykonać, względnie polecić to jakiemuś wiejskiemu majsterkowi. Na ściany boczne pułapki możemy użyć siatki żelaznej, takiej jak na ogrodzenia, lepiej jednak dać siatkę z przędzy (najlepiej ze sznurka lub szpagatu), gdyż wówczas trzepoczący się w pułapce drapieżnik mniej sobie niszczy pióra. Sufit pułapki zrobiony jest z kwadratowego, ruchomego kawałka siatki, która „chodzi" na dwu drutach naciągniętych wzdłuż ram górnych AB i CD pułapki. Z trzeciej strony siatka przymocowana jest na stałe do ramy BC, wreszcie stronę czwartą siatki napinamy na kawałku drutu, którego końce luźno zawijamy na drutach idących wzdłuż ram AB i CD. Zsuwając siatkę do ramy BC, otwieramy pułapkę; pociągając za drut na stronie czwartej siatki, w kierunku ramy AD — zamykamy ją. Mechanizm spustowy pułapki jest również bardzo prosty. Ruchoma dźwignia E utrzymuje zaczepem klin F, obciążony kamieniem lub kawałkiem żelaza. Do klina tego są przywiązane sznurki, połączone z siatką „sufitową".

Działanie pułapki jest następujące. Drapieżnik uderza przez otwór górny na kuraka lub gołębia, znajdującego się na przynętę w dolnej komorze pułapki (K). Uderzając o dźwignię, opuszcza ją, wyzwalając tem samem z zaczepów klin, który spadając zaciąga sieć górną i zamyka otwór wejściowy pułapki. Opisany typ możemy nieco zmodyfikować, dając otwór wejściowy z boku. Wówczas siatkę zatrzaskową zakładamy na ramy drewniane, które po wyskoczeniu klina z zaczepów opadają własnym ciężarem. Pułapkę stawiamy na jakiemś samotnem drzewie o rosochatej, rzadkiej koronie, albo na specjalnie wkopanych słupkach. Lepiej jest oczywiście, jeśli pułapkę umieścić wysoko nad ziemią, zupełnie dobre rezultaty otrzymujemy jednak już wówczas, gdy wysokość słupków wynosi 2—3 m. Dobrze jest w pobliżu pułapki wbić w ziemię tyczkę z poprzeczką, by drapieżnik, który nie znajdzie odrazu wejścia do pułapki, mógł usiąść i wypatrzeć sobie którędy tam wlecieć.



Rys. 1. Pułapka na jastrzębie według Hr. Schmising'a (rys. L. Klimek).

Drugą kategorję sprzętu do łowienia drapieżników stanowią sieci. Typy i sposoby łowienia nie uległy tu żadnym zmianom od niepamiętnych czasów po dzień dzisiejszy. Przewagę sieci nad pułapkami stanowi to, że łapią się w nie i sokoły. Podaję tu opis jednej z najprostszych sieci samoczynnych, używanych powszechnie na wschodzie. Długość jej wynosi 6 m, szerokość 2 m. Robimy ją z mocnej przędzy o barwie dostosowanej do podłoża, na którem się ją stawia (zimą na śniegu — biała, latem na trawie zielonkawa, na podorywkach i rżyskach — szara). Oczka sieci powinny mieć średnicę 7 — 8 cm. Jako przynętę, dajemy gołębia latem jasnego, zimą ciemnego. Sieć stawiać należy na otwartem polu, gdzieś w pobliżu lasu, lub tam, gdzie wiemy, że stale polują sokoły lub jastrzębie. W miej-

scu wybranem wbijamy w ziemię kołeczek, do którego przywiązujemy na pętach gołębia tak, by miał on pewną swobodę ruchu. Od kołeczka tego zataczamy koło o promieniu 70—90 cm. Na obwodzie tego koła w równych odstępach wbijamy 5 kołków o długości 170 cm tak, by z ziemi wystawały na 120 cm. Im będą one cieńsze, tem oczywiście lepiej, muszą być jednak dostatecznie mocne, by utrzymały sieć. Najlepiej użyć do tego celu prętów leszczyny. Wierzchołki kołków łączymy sznurkiem lub drutem tak, że tworzy się rodzaj pierścienia. Najlepiej jest przybić sznurek małemi gwoździkami na górnych krawędziach słupków, by tworzyły one z nim jedną linję. Wzdłuż drugiej strony sieci przewlekamy przez wszystkie oczka sznurek, jeden koniec którego przywiązujemy do pierwszego oczka, drugi zaś, po zawieszeniu sieci, przywiążemy do podstawy jednego ze słupków. Sieć zakładamy, rozwieszając ją luźno zupełnie na pierścieniu ze sznurka, założonego na kołkach, przewieszając ją nieco, aby się nie zsunęła; boki sieci układamy na kołkach, dół rozciągamy swobodnie dookoła na ziemi. Jednem słowem sieć po rozstawieniu powinna wyglądać jak cylinder (kapelusz o dużem rondzie) bez denka.



Trening na gołębiu. „Kaja" na zdobyczy. Fot. A. Dehnel.

Działanie jej jest następujące: drapieżnik uderza najczęściej z boku na gołębia — impetem strąca sieć, która nakrywa go. Szamocząc się, uplątuje sobie w oczkach sieci najpierw głowę, potem łapy. Każdy ruch jego pogarsza tylko sytuację, zwykle więc po kilku minutach jest on tak oplątany, jak małe dziecko w powijakach. Aby sieć dobrze działała, kołki muszą być idealnie gładkie, a krawędź górna sieci (ta z przewleczonym sznurkiem) tak założona, by przy uderzeniu z zewnątrz łatwo się zsuwała. Jeśli przypadkiem ptak uderzy przez górny otwór, to też zwykle zaplącze się — dzięki temu, że szamocząc się z gołębiem strąci sieć. Wówczas jednak najczęściej omota sobie tylko nogi, a zatem, jeśli szybko nie podbiegniemy, by go schwytać, może po pewnym czasie wyplątać się — chyba, że, usiłując oswobodzić nogi, wsadzi głowę w oczko sieci.

Siatki należy stawiać przed świtem, lub zwieczora, by mieć pewność, że drapieżnik nie zobaczy nas przy tem zajęciu. Dobrze jest, szczególnie jeśli mamy do czynienia z sokołem, znęcić go najpierw, przywiązując mu przez kilka dni z rzędu w miejscu, w którem ma stanąć sieć, gołębia, aby wiedział, że atakowanie go niczem mu nie grozi; potem postawić kołki, a dopiero przy trzecim, czwartym gołębiu założyć sieć. Z jastrzębiami tego kłopotu nie warto sobie robić, gdyż przeważnie uderzają one bez wahania, szczególnie ptaki w pierwszem pierzu.

Najlepsze rezultaty, jeśli chodzi o sokoły, daje łowienie z zasiadki. Przedewszystkiem na upatrzonym terenie musimy zbudować sobie schron — najlepiej ziemiankę z wizjerami do patrzenia na wszystkie strony. Musi być ona wygodna (pamiętajmy, że będziemy musieli spędzać tam 3 — 4 godziny dziennie), dobrze zamaskowana, no i zbudowana w miejscu zapewniającem dobry wgląd w teren. W odległości 50 — 70 m. od naszej kryjówki wkopujemy kilkometrowy masztтyczkę z bloczkiem u góry. O 10 m. od tyczki wbijamy równo z powierzchnią ziemi gruby kołek, w który wkręcamy klubkę. Od schronu przez bloczek w maszcie prowadzimy linkę (najlepiej kordonek taki, jak do łapania szczupaków), którą po przeciągnięciu przez klubkę ciągniemy dalej aż do schronu. Do kordonka tego, pomiędzy bloczkiem a klubką, przywiązujemy na maleńkich pętach sokolniczych gołębia. Urządzenie to musi funkcjonować tak, by można było ciągnąć z ziemianki za jeden koniec sznura, podciągnąć gołębia do góry, aż pod sam bloczek, gdy zaś po zluzowaniu sznurka gołąb poleci kilkanaście metrów, by można było potem za drugi koniec sznura ściągnąć go do samej klubki. Przy kołku z klubką ustawiamy dobrze zamaskowany potrzask, lub sieć zastawną, w taki sposób, by po zapadnięciu przykrywała ów kołek. W ostateczności może to być zwykła rama drewniana, dość ciężka, z naciągniętą siatką, którą maskujemy łodygami grochu, wyki, lub cienkiemi gałązkami, by przypominała np. płot. Ustawiamy ją pionowo, przyczepiając do górnej krawędzi sznur, który prowadzimy do schronu.

Na łowy wychodzimy przed świtem. Przywiązujemy gołębia do sznura, sami zaś kryjemy się w schronie. Gdy już jest dobrze widno, rozpoczynamy nęcenie drapieżnika. W tym celu podciągamy gołębia na sznurze ku górze, poczem pozwalamy mu sfrunąć swobodnie. Manewr ten powtarzamy kilkakrotnie. Przeważnie — aby niepotrzebnie nie męczyć gołębia — przepatrujemy przy pomocy lornetki okolicę, czy nie widać gdzieś darpieżnika, i dopiero gdy dojrzymy go, podciągamy gołębia do góry. Choćby jednak ani jastrzębia ani sokoła nie było widać, należy co 10 — 15 minut zmusić gołębia do wzlotu, gdyż mogły one niepostrzeżone przez nas nadlecieć i usiąść gdzieś na drzewie.

Jeśli drapieżnik uderzy na gołębia i schwyta go, wówczas należy szamoczące się na ziemi ptaki podciągnąć pod klubkę, poczem przy pomocy trzeciego sznura zatrzasnąć potrzask, względnie przewrócić na nie wyżej opisaną ramę z siatką.

Najmniej skomplikowane jest łowienie przy pomocy lepu. Przygotowujemy 100 — 150 cm. kawałek taśmy, nasmarowanej lepem na muchy (kalafonja i olej lniany). Do jednego końca taśmy przyczepiamy pętelkę, przy pomocy której będziemy przywiązywali taśmę do nogi gołębia, do drugiego końca przyszywamy niewielki ciężarek, np. loftkę. Taśmę taką zwijamy i umieszczamy w jakimś słoiku lub probówce, aby nie wyschła. Idąc w teren, zabieramy z sobą gołębia i tak przygotowany lep. Gdy zdaleka (nawet o 400 — 500 m.) zobaczymy polującego sokoła, przyczepiamy gołębiowi do nogi taśmę z lepem, rozprostowujemy ją i podrzucamy gołębia do góry, zmuszając go do lotu. Jeśli drapieżnik uderzy na gołębia, wówczas taśma, dzięki przyczepionemu w końcu ciężarkowi, zarzuca i, ocierając sie o skrzydła lub ogon napastnika, przylepia się. Wystarczy gdy dotknie nawet jednego pióra, bo wówczas ptak, przerażony w najwyższym stopniu tem, co się stało, aby się uwolnić, zaczyna się trzepotać, oplątując się wskutek tego oczywiście coraz więcej, a w rezultacie spada na ziemię, lub siada na najbliższem drzewie,

skąd już bez trudności możemy go zdjąć. Najwygodniej jest czatować z lepem w pobliżu jakiegoś gołębnika, który jastrzębie czy sokoły odwiedzają regularnie, wówczas bowiem, gdy zobaczymy zbliżającego się ptaka, mamy pewność, że jest on głodny i chętnie uderzy na podpuszczonego mu gołębia. Lep z piór drapieżnika zmywamy ostrożnie watą umoczoną w benzynie, najlepiej odrazu po schwytaniu ptaka (oczywiście po założeniu mu pęt), później trudniej to zrobić, nie mówiąc już o tem, że ptak, gdy zacznie się sam czyścić w sokolarni, może sobie łatwo powyrywać w zdenerwowaniu pióra, umazane zaschłym lepem.

Schwytany ptak powinien być jaknajszybciej przeniesiony do sokolarni z zachowaniem jaknajdalej idących ostrożności, aby przy tej okazji nie poniszczył sobie piór. Jeśli drapieżnik jest oplątany w sieci, wówczas przynosimy go w tym stanie, jakeśmy go znaleźli i dopiero w domu rozplątujemy go. Z pułapek samoczynnych lub z potrzasku należy ptaka wyjąć na miejscu. Aby sobie ułatwić zadanie, najlepiej jest całą pułapkę okryć kocem, aby ptak znalazł się w ciemnościach, poczem staramy się obiema rękami uchwycić ptaka za grzbiet, przyciskając oba skrzydła tak, aby nie mógł niemi poruszać. Trzymając naszego jeńca, jak w obręczy, obsuwamy nieco dłonie ku tyłowi jego ciała, starając się palcami uchwycić go za nogi tak, by ułożyć je równolegle do ogona. Teraz, gdy jest on już zupełnie unieruchomiony, możemy wyjąć go z pułapki, poczem nasz pomocnik, którego musimy bezwzględnie mieć przy sobie podczas tej operacji, naciąga na ptaka jakiś woreczek, przez który bandażujemy ptaka, krępując całe jego ciało i przekształcając go nieomal w rodzaj mumji. Bandażować nie można jednak zbyt mocno, szczególnie przedniej połowy ciała ptaka, gdyż wówczas możemy łatwo bardzo udusić go.

Być może, że ktoś z czytelników zdziwi się, że tyle miejsca i uwagi poświęcam tak prostej, zdawałoby się, sprawie, jak wyjęcie drapieżnika z pułapki. Musimy uświadomić sobie jednak, że często ten właśnie moment decyduje o całej przyszłej karjerze naszego ptaka, w trakcie bowiem wyjmowania i krępowania go najłatwiej jest jakimś nieostrożnym chwytem poniszczyć mu pióra, temwięcej, że oszalały ze strachu, trzepocze się i wyrywa ze wszystkich sił. Każde zniszczone pióro w skrzydełkach lub ogonie, to o kilka procent zmniejszona sprawność ptaka, na nowe opierzenie zaś, jak wiadomo, trzeba będzie czekać zawsze do lipca, to zn. do okresu linienia, a więc zwykle, jeśli prowadzimy połowy jesienią, 10 miesięcy.

Po przeniesieniu ptaka do sokolarni, zakładamy mu na obie nogi pęta z dość szerokiego, elastycznego surowca i przywiązujemy za nie do stojaka słupkowego, nie wyższego od ziemi nad 30 cm., a lepiej nawet do zwykłego ciężkiego klocka drewnianego, położonego na podłodze. Oczywiście, że przyczepiać pęta należy do karabińczyka obrotowego w taki sposób, by możliwie uniknąć splątania się ptaka. Jeśli surowiec nie jest dostatecznie elastyczny — jako amortyzator, można dać kawałek gumy takiej, jak na procę. Dzięki temu, szarpiący się na uwięzi ptak nie pościera sobie nóg. Po przywiązaniu drapieżnika, gasimy światło, względnie zamykamy okiennice w sokolarni, rozwiązujemy ptaka i pozostawiamy go w spokoju w ciemności przez kilka godzin, najlepiej aż do rana dnia następnego.

(D. c. n.). Dr. AUGUST DEHNEL.

W OBRONIE CIETRZEWI I POLOWAŃ NA CIETRZEWIE

(Ciąg dalszy).

Drapieżniki. — Tu będę się silnie streszczał. Nie dlatego, bym sądził, że walka z drapieżnikami nie stanowi nieodzownego warunku dla podniesienia u nas stanu cietrzewi, lecz z tej racji, że małoby się tu dało powiedzieć nowego poza tem, co napisałem na ten temat w artykule o pardwach. Nie wyobrażam sobie bowiem prowadzenia walki z drapieżnikami z uwagi na chęć ochrony jednego jakiegoś gatunku zwierzyny. Nie będzie więc dla danej sprawy istotne to np., że młody g o ł ę b i a r z, który będzie bez pudła bił pardwy, nie da sobie przeważnie rady ze starym kogutem cietrzewim, lub że k r o g u l e c, który potrafi wyniszczyć wprost w danem łowisku jarząbki, nie jest groźny dla cietrzewi poza zupełnie niewyrośniętemi jeszcze sztukami. Co do tych dwóch gatunków drapieżników, to pozwolę sobie na uwagę, że gdyby nasza krajowa avifauna zubożała o nie całkowicie, nie byłby to żaden powód do zmartwienia. — Dla s i w y c h w r o n i s r o k też żadnej litości mieć nie można.

Jeżeli chodzi o wysokość rocznych strat w stanie cietrzewi, jaką należy obciążyć konto drapieżników, to wydaje mi się, że wahają się one w granicach 30 — 50%. Raz jeszcze przypominam, że stan drapieżników skrzydlatych zaczął wzrastać w latach ostatnich w sposób zastraszający. P o d j ę c i e w i ę c n a j e n e r g i c z n i e j s z e j a k c j i t ę p i e n i a w s z e l k i c h s z k o d n i k ó w j e s t n i e o d z o w n y m w a r u n k i e m n i e t y l k o p o d n i e s i e n i a s t a n u c i e t r z e w i, a l e i o s i ą g n i ę c i a p o m y ś l n i e j s z y c h w y n i k ó w w g o s p o d a r c e ł o w i e c k i e j w o g ó l e.

Młodsi myśliwi, nie mający w tym dziale większego doświadczenia, znajdują nieco szersze naświetlenie tej sprawy w artykule moim o pardwach, wyliczenie dokładne „wrogów cietrzewia" w jego monografji p. Korsaka, dokładniejsze zaś wskazówki co do sposobów walki z drapieżnikami znajdą w specjalnych artykułach i broszurach, oraz większych pracach łowieckich, jak „Rok myśliwego" p. Korsaka „Podstawy łowiectwa" p. Świętorzeckiego.

Odstrzał. — Oświadczyłem w tytule, że występuję w obronie cietrzewi i polowań na cietrzewie. Jak to pogodzić? Sądzę, że będę konsekwentny i pogodzę tu te pojęcia, jeśli w y s t ą p i ę w o b r o n i e t y l k o n a j s z l a c h e t n i e j s z y c h r o d z a j ó w ł o w ó w n a c i e t r z e w i e, z a k r e ś l a j ą c g r a n i c e, w j a k i c h u p r a w i a n i e i c h n i e b ę d z i e s z k o d z i ł o p o d n i e s i e n i u u n a s s t a n u c i e t r z e w i. Logicznie też rzecz biorąc, muszę wystąpić przeciwko tym rodzajom łowów, które do szlachetnych trudniej jest zaliczyć — niema więc racji zwężania ich kosztem możliwości odstrzału na łowach szlachetnych — oraz zwrócić uwagę na konieczność pewnych reform w rodzajach łowów najszlachetniejszych, bez których mogłyby i one przyczynić się znakomicie do wyniszczenia cietrzewi. Będą to:

a) polowania z cieniami i to zarówno jesienią, jak i wiosną,

b) polowania na cietrzewie „z jamek",

c) strzelanie cieciorek z pod wyżła w „przepisowym" obecnie czasie.

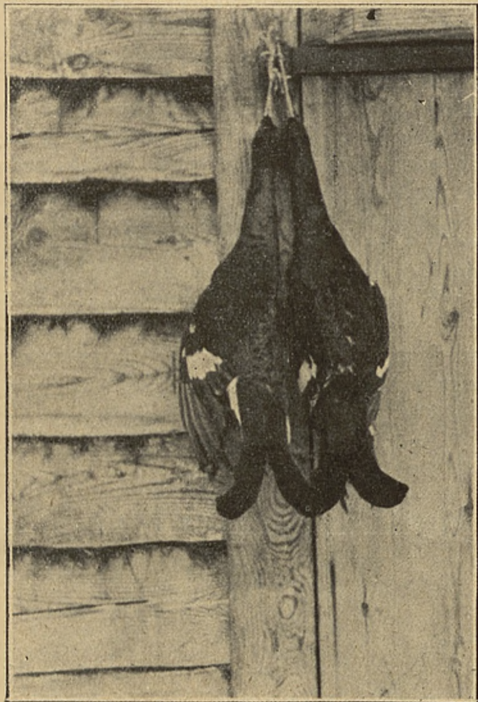
Wysunę też pewne zastrzeżenia co do polowań z podjazdu i na tokach.

Co do p o l o w a ń z c i e n i a m i, c z y l i b a ł w a n a m i, to p. Pereswiet-Sołtan, autor umieszczonego w ostatnim Kalendarzu myśliwskim artykułu fa-

chowego na ten temat, stwierdza, że „...nie da się (ich) zaliczyć do rzędu szlachetnych łowów...", co pozwala mi przejść nad tym punktem bez dyskusji.

Stosowanie tego polowania wczesną wiosną automatycznie odpadnie z chwilą wejścia w życie noweli do ustawy łowieckiej, przewidującej jakoby czas ochronny na cietrzewie w m. marcu. I nie szkoda.

Polowanie „z jamek" uważam za nieetyczne, ponieważ powszechnie przecież głosi się zasadę, że nieszlachetnie jest polować na jakąś zwierzynę w ciężkich okresach jej życia. Bo kiedy to polowanie może być stosowane? Albo w okresie dużych śniegów i silnego mrozu, a więc nieszlachetnie, albo też po — względnie przed wschodem słońca, lub nawet w nocy przy księżycu. To już jest nawet niezgodne z ustawą łowiecką.



Z wiosennego toku. Fot. J. Bończa Markowski

Oczywiście, że trzeba być „ciężkim" amatorem, by podobne łowy chcieć uprawiać i że trudno tu przewidywać poważne podniesienie się rocznego odstrzału cietrzewi dzięki tym łowom. Jednak z wyżej podanych powodów i z racji, że tacy łowcy (nierzadko kłusownicy) mają zawsze pełne szanse — strzelając o zmroku — dusić cieciorki, mówimy na te łowy: pas. A dodatkowy wniosek: na luty ochrona.

Strzelanie cieciorek z pod wyżła w czasie od 16.VIII. do 14.IX.

To najważniejszy punkt dyskusji. Brak ochrony cieciorek w tym czasie zaliczam do najpoważniejszych błędów dotychczasowej ustawy łowieckiej i uważam, że niewzięcie ich pod ochronę przy nowelizacji ustawy przesądzi o dalszym i szybszym upadku stanu cietrzewi na Kresach Wschodnich. Należy tu przypomnieć, że stan cietrzewi na Kresach Wschodnich przed rokiem 1928-ym w wielu miejscowościach, gdzie nie działały jakieś specjalne, lokalne plagi, wyraźnie wzrastał. Czemu to się działo? Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta, złożyło się tu bowiem kilka przyczyn. Mojem zdaniem są to: a) przesunięcie początku odstrzału cietrzewi na czas właściwy, b) przesunięcie początku odstrzału kuropatw na czas właściwy, c) ogromny wzrost u nas liczby strzelaczy i nastawienie się ich na odstrzał cietrzewi w dwóch pierwszych tygodniach odstrzału. Należy to wyjaśnić. Poważna część naszych myśliwych (z nielicznemi wyjątkami) hołduje zwyczajowi rozpoczynania polowań na każdą prawie zwierzynę z pierwszym dniem ustawowego okresu odstrzału. Kiedy więc wolno było polować na cietrzewie od 28 lipca, to nawet wielu beznadziejnych strzelaczy dochodziło do wniosku, że strzelanie nierzadko mało co większych od derkacza cieciuruczków nie daje żadnej satysfakcji. Potem zaczynało się już polowanie na kuropatwy, w niektórych latach niezbyt nawet zawczesne dla centralnych i południowych województw, i strzelacze mieli zajęcie. Były to powody, dla których polowania na cietrzewie nie były „modne". Polowali na nie w czasie nieco późniejszym, że tak powiem, lepsi, wytrawniejsi myśliwi, w znakomitej większości wypadków rozumiejący konieczność oszczędzania cieciorek — nietylko starek. Przyszła nowa ustawa. Bezrobotni w drugiej połowie sierpnia strzelacze, rekordziści i królomani ryknęli zgodnie: „No, to hajda na cietrzewie (i pardwy)!" — Po pierwszych „sukcesach" — w następnym sezonie z jeszcze większym zapałem: — „Pobić zeszłoroczne rekordy! Przestrzelać innych!"

A jak to się odbywa? Proszę: — A więc stójka. Zrywa się z głośnem kwoktaniem kura. W łeb ją, by nie robiła zamieszania i nie przeszkadzała wypadkiem w „wyzbieraniu" stadka. Porywają się dwa młode cieciuruki — ktoby tam patrzył, czy czarne! Bach, bach — leżą oba. Od strzałów podrywają się znów — aż trzy i siadają na najbliższem drzewie. Szybko naboje do luf! („Szkoda, że nie wziąłem na dziś Browninga!"). Bach do dolnego — spadł. Siedzące wyżej przekrzywiają głowy i patrzą, co to się stało. Bach do następnego — też się wali. Ostatni, blisko siedzący, coś może zmiarkował, bo zerwał się i poleciał. („Ach, żeby to Browning! — Ale i tego znajdę — zapadł w tamtych krzakach".). — No i stadko zlikwidowane. I nie będzie już w roku przyszłym w tem samem prawie miejscu stadka już liczniejszego — może 8 — 10 sztuk. — „No, szkoda czasu, jazda dalej — szukaj Hektor!" — Obrazek piękny co? — A ile takich i temu podobnych na porządku dziennym? I to w pierwszych dniach odstrzału! I jest się tu czemu dziwić, że cietrzewie giną?!

Doszliśmy do tego, że wszyscy poważniejsi myśliwi trąbią na alarm i szukają środków zaradczych. Wielu przemawia oczywiście za przesunięciem początku polowania na dzień 1.IX. — P. inż. Dankiewicz proponuje nawet — poza powyższem przesunięcie początku polowania letniego — objąć również czasem ochronnym miesiące listopad, grudzień i marzec *). P. Świętorzecki uważa za wskazane, poza zamknięciem odstrzału w marcu, kończyć polowanie na tokach z dniem 15.V **). Zrealizowanie pierwszej propozycji dałoby dużą poprawę w stanie cietrzewi, przekreślałoby jednak — mojem zdaniem niepotrzebnie — wiele możliwości najpiękniejszych emocji myśliwskich. Zrealizowanie propozycji drugiej nicby nie dało, bo przecież w okresie marca i drugiej połowy maja pada niewielka ilość kogutów, tak że przy zachowywaniu innych warunków przy tych polowaniach, jak kulturalne pod względem myśliwskim zachowywanie się na tokowisku i t. p. (te same „Podstawy Łowiectwa"), nie mogłoby się to odbić wyczuwalnie na jakości lęgów.

Ja uważam, że jedyne i właściwe pod każdym względem rozwiązanie da zamknięcie odstrzału cieciorek w czasie zezwalającym nań obecnie. Postaram się to udowodnić.

Szerokie uzasadnienie celowości oszczędzania przy odstrzale cieciorek wydawałoby się może nawet zbędne, ale tak, niestety, nie jest. — Bo o konieczności oszczędzania starek piszą wszyscy i tu jednomyślność

*) „Łowiectwo na Wileńszczyźnie" — Kal. myśl. r. 1938.

**) „Podstawy Łowiectwa", str. 117.

wśród myśliwych jest przykładna. W obronie jednak młodych kur nie występuje nikt prawie, a oprócz tego wysuwa się jeszcze sprawę t. zw. „jałowych starych kur" i usposabia się do nich wrogo myśliwych. Zapytam, skąd biorą się te brane powszechnie w obronę starki? Zdaniem mojem, wyrastają one właśnie z tych młodych kur i pozwalam sobie twierdzić, że im mniej będziemy wystrzeliwać kur młodych, tem więcej w przyszłości będzie starek, prowadzących po 12 i więcej cieciuruków w stadku. To, że dana młódka wyprowadzi jeszcze w roku następnym tylko 4 — 5 młodych, nie może jej dyskwalifikować i stanowić motywów wyroku śmierci na nią. Czy zgoda? — Jałowe kury... Zapytam, skąd biorą się one? Zdaniem mojem, w znakomitej większości wypadków są to kury, których gniazda zostały zniszczone przez jakieś dwu- czteronożne, czy skrzydlate szkodniki. Zjawisko bezpłodności jest rzadkie nawet w tak zdegenerowanem społeczeństwie, jak ludzie. Przecież ile to się miewało i miewa kłopotów z zabiegami o niepowiększanie w „nieprzepisowy" sposób siły demograficznej Państwa! W tak zdrowych zaś społeczeństwach, jakie stanowią prawie wszystkie gatunki zwierzyny łownej, bezpłodność jest ogromnie rzadka i posądzanie o nią wszystkich, latających po dwie lub po trzy, kur w okresie, gdy inne prowadzą stadka, jest grubą przesadą.

Jestem ogromnym zwolennikiem zgody, gdy tylko można dopatrzeć się choć cienia racji. Więc zgoda — kury jałowe są. Odstrzeliwujemy je w czasie od 16.IX do 15.X. Niech będzie ta klapa bezpieczeństwa. Trzeba dać możność wzorowym hodowcom i gospodarzom łowisk odstrzelenia wyraźnie zdemaskowanych jałówek, bałamucących niepotrzebnie koguty podczas toków i przeszkadzających płodnym młódkom w zakładaniu gniazd w niektórych częściach terenu. Również w wypadku stwierdzenia nadmiaru kur w łowisku można stan ich w proponowanym czasie zredukować.

Obroniłem kury? — „No niby tak. Względy hodowlane przemawiają za tem. Cietrzew jest ptakiem, żyjącym w poligamji, stosunek — jeden kogut na pięć kur, jak twierdzi teorja, a praktyka nie przeczy, jest wystarczający. Wybitna różnica w opierzeniu od czasu przyzwoitego wyrośnięcia łatwo pozwala odróżnić płeć. — No tak... ale co robić, jeśli płci jeszcze odróżnić nie można?" — Załamuję rozpaczliwie ręce. — O, Boże! No, to nie strzelać, cieniu jeden! Zostawić ten wywodek w spokoju na potem — dla siebie, lub dla innego myśliwego, który przyjedzie w dwa tygodnie po nas. Czy zgoda? — „Hm, może i racja".

Lecz co to? — Znów jęczy strzała, pędzi w pierś moją! Skąd ona? — Patrzę — ach, jaka znana popchnęła ją do lotu cięciwa, a ją jaka szanowana, ceniona w świecie łowieckim naciągnęła ręka! — Pogwizdała strzała, pogwizdała —i poleciała. — Składam w pamięci sylaby zawodzenia tej strzały: „Mi-ga-ją-ce cie-trze-wie, mi-ga-ją-ce cie-trze-wie"! — Zaskoczony, zdziwiony, zapytuję, co to za nowa odmiana? — Zaczynam być uświadomiony.

Dowiaduję się, że na terenie danego myśliwego cietrzewie trzymają się miejsc bardzo zarośniętych, że trzeba tam strzelać tylko do „migających cietrzewi", że tam już trudno uniknąć zabicia kury i że takie ograniczenie uniemożliwi tam polowanie na cietrzewie. W każdym razie dany myśliwy w wypadku zamknięcia odstrzału kur zapowiada strajk wraz z rodziną. A gdzież to są inne warunki polowania na cietrzewie, gdzie one trzymają się łąk otwartych i pól uprawnych, i kto twierdzi, że ta forma nie utrudni nieco polowania na cietrzewie, nie zmusi do uwagi przy strzale? Napisałem „nieco", ponieważ na palcach jednej ręki mogę policzyć wypadki, gdy nie strzeliłem do koguta z racji niepewności, czy to kogut, a i te łatwo mogły się skończyć na pudle. Czy więc to są argumenty, przemawiające przeciwko wprowadzeniu ograniczeń, zapewniających nam prawie już ratunek dla cietrzewia? Poza innemi terenami, poluję na naszych terenach Oficerskiego Klubu Łowieckiego w Wilnie koło Pohulanki i mogę udowodnić przy pomocy świadków że: 1) można z migających w krzakach czy w lesie cietrzewi wybierać koguty i, jeśli się chce, nie mieć na rozkładzie kur, 2) że gdybym nie uważał przy strzale na to, co miga w gąszczu, miałbym na rozkładzie przy polowaniach z wyżłem dwa razy głuszca, a raz głuszycę. Zresztą uwagi te odnoszą się nietylko do mnie i nietylko do warunków polowań na naszych poligonach.

Pozwolę tu sobie podać praktyczną wskazówkę: jeśli niema 100%-wej pewności, że kogut, to jest 100% za tem, że to kura. Twierdzę to nietylko na podstawie kilkakrotnych własnych smutnych doświadczeń, lecz i obserwacji innych kolegów myśliwych. Nie pamiętam wypadku, bym posłyszał: „byłem pewien, że kogut", a zawsze: „wydawało mi się, że kogut". I wydaje mi się, że inne tłomaczenie byłoby zawsze dowodem albo złych oczu, albo... tupetu.



Fragment z Puszczy Białowieskiej. Fot. J. Hołyński.

Tak więc argument o „migających cietrzewiach" nie jest, mojem zdaniem, żadnym argumentem. Wyobrażam sobie np. myśliwego, polującego z gończemi na rogacze, któryby nie uważał na to, co mu miga między drzewami i krzakami. Twierdzę z całem przekonaniem, że przy braku uwagi w podobnych wypadkach, darmoby najczęściej szukał potem u zabitej sztuki rogów, a nawet i pendzla. Taki więc warunek nie robi żadnego wyłomu w zasadach strzelania myśliwskiego. Przeciwnie, rozszerza tylko zakres konieczności tej uwagi przy strzale, tego tak cennego czynnika wychowawczego.

O, znów pędzi strzała w pierś moją! Zresztą... ma-de ten sam kołczan. Na szczęście już ostatnia. „Nie wolno wydawać przepisów trudnych do przestrzegania, noszących w sobie zarodek łatwego ich przekroczenia bez złej woli, a więc w skutkach mogących mieć wpływ ujemny na kształtowanie się charakterów. — Brak poczucia swej wyraźnej jaskrawej winy może skłaniać przekraczającego przepis do zatajenia tego faktu, dla uchylenia się od niezasłużonej w jego pojęciu odpowiedzialności. To zaś w konsekwencji może powodować w nim stopniowe zmniejszanie się etycznej wrażliwości i subtelności na tym odcinku zasad moralnych".

Bardzo poważna i nie mająca żadnych rysów zasada. Ale tu już wkraczamy w finezje zasad i metod

wychowania moralnego. Też się mój Szanowny Oponent w czas wybrał z takiemi finezjami! Proszę sobie przeczytać ostatni artykuł p. Michała Pawlikowskiego (Ł. P. Nr. 14/38 — str. 279 — ustęp ostatni), a przyzna mi Pan, że teraz życiowo aktualne byłyby biegunowo inne co do siły metody wychowawcze. A przecież p. Pawlikowski nie sili się nawet na wyczerpywanie przykładów — stawia kropki.

Więc proszę bliżej tematu: — strzelanie do pardw na tokach (na szczęście bez skutku), rzezie tych samych pardw i cietrzewi do ostatniej sztuki w szeregu stadek it.p. kwiatki. Proszę też sobie przypomnieć, co było pisane w „Podstawach łowiectwa" o rzeziach głuszców, strzelaniu do wszelkiej zwierzyny na odległości poza metą strzału, gdy „zgóry wiadomo, że 50 na 100 sztuk strzelonych zgninie nieprodukcyjnie" it.d. it.d. — Czy więc tu, na tym obrazie smutnej rzeczywistości doszukamy się miejsca na delikatny retusz piórkiem? — I nie widzę racji zwalczania takiemi argumentami wysuwanych ku ratowaniu zagrożonego gatunku wartościowej zwierzyny postulatów.

Zresztą rzucając zasłonę na jakąś rację, mającą w danej sprawie minimalne nawet znaczenie czy zastosowanie, uważam za rozsądne zostawić pewien dostęp do niej świeżego powietrza. Możemy i tu to zrobić, ustalając za zabicie w tym okresie kury takie kary: stara kura 25 — 50 zł., młoda 5 — 10 zł. Oczywiście nie jak dotychczas od 1 zł. do 500 i 6 -ciu tygodni kryminału. To już zdało życiowy egzamin niedojrzałości. Ustalając kary w wysokościach proponowanych, stworzymy tę klapę bezpieczeństwa dla wszystkich etyczno - moralnych finezyj metod wychowawczych.

Wkońcu na ten temat jakby spowiedź. Otóż nietylko jakieś „głębokie zrozumienie podstaw gospodarki łowieckiej — czy jej etyki" it.p. o szumnych brzmieniach czynniki skłoniły mnie do zabrania głosu w obronie cietrzewia i takiego ujęcia tej sprawy. Przesada. Naprowadziło mnie na to właściwe zrozumienie, że tak powiem, skali satysfakcji, czy emocji myśliwskich na polowaniach na cietrzewie. — A jak się to stało? Bo przecież i ja zaczynałem od... strzelania kur.

Na cietrzewie zacząłem polować już po wojnie w kraju. I to niewiele, aż do ostatnich lat paru. W roku 1929-ym pojechałem na krótki urlop na Wołyń, do żyjącego wówczas mego Ojca, który miał tam do dyspozycji rozległy i bogaty w różnorodną zwierzynę teren. Była druga połowa sierpnia. Ponieważ Ojciec mój mocno już wówczas sarkał na „niewzięcie radykalnie pod ochronę cietrzewia" przez prawo łowieckie i przewidywał smutne tego skutki, nie zapalałem się zbytnio do cietrzewi, pocieszając się z powodzeniem dubeltami i bekasami, których sporo było na błotach. Lecz oto któregoś dnia, polując na błocie, zbliżyłem się do krzaków i lasu i natknąłem się na cietrzewie. Pierwszy porwał się z pod stójki farbowik. Strzeliłem — spadł. Zrywa się drugi cietrzew — trochę pod słońce, więc nie bardzo widać i nawet wydaje się, że czarny. Strzelam — spada. — Obok padającego ptactwa porywa się trzeci — szybko nabój do lufy — strzał — leży... Obie kury.

Muszę przejść na drugą stronę błota przez młody, gęsto podszyty lasek. Moja angielka wystawia znów. Porywa się stadko — strzelam, wybierając do strzału najwygodniejsze sztuki... Dwie kury. — Wychodzę na niewielką polankę i spostrzegam moją angielkę na stójce. Porywa się znów pod słońce trzy cietrzewie. Strzelam dwa razy — spadają wszystkie... same kury (w dodatku stare). Już na skraju krzaków znów stójka. Zrywa się dwie szare sztuki. Jakby coś przeczuwając, długo zwlekam ze strzałem. Wreszcie, gdy już zachodzi obawa, że wyjdą poza metę strzału, strzelam szybko dwa razy. Od strzałów porywa się trochę dalej z trwożnem kwoktaniem starka, a bliżej — jeszcze na strzał — osiem sztuk młodych, śród których tylko dwie kury — reszta śliczne farbowiki. — Niezbyt wyraźnie wyczuwalny do tej chwili niesmak przemienia się odrazu w wyraźną przykrość. Ku pognębieniu memu cietrzewie przelatują na drugą stronę kanału, przez który nie można się w pobliżu przeprawić. Zarzucam strzelbę na ramię i w podłym nastroju, z przeczuciem przykrej rozmowy w domu, ruszam do brzegu.

A rozmowa była przykra. — „Pocoś strzelał tego koguta? Trzeba było zamiast niego zarżnąć jeszcze dwie kury i miałbyś czysty dziesiątek!" — I cały wykład o braku smaku myśliwskiego. Ale poskutkowało. — Nazajutrz byłem zaproszony do pobliskiego majątku i polowaliśmy w trzy strzelby na cietrzewie. Jeden z moich towarzyszy zabił 9, drugi 7, ja tylko 6, ale same farbowiki. Nie czułem się wcale „przestrzelany", gdyż towarzysze moi mieli razem też tylko 6 kogutów. I oni wyczuli tę sytuację. W drodze z polowania wywiązała się na ten temat rozmowa, przy której końcu obaj oświadczyli, że faktycznie niema sensu strzelać kur i że z tem zdecydowanie kończą.

W roku ub. trafiłem w pow. brasławskim na doskonały teren cietrzewi. Polując tam 19.VIII, zabiłem 18 cietrzewi — leniaków i farbowików. Gdybym strzelał i do kur, z pewnością przekroczyłbym 30-kę, ale bez cienia wątpliwości nie miałbym tak miłych wspomnień z tego polowania.

Podałem te fakty, pragnąc zachęcić Kolegów myśliwych do całkowitego powstrzymania się od strzelania kur, bez zwlekania z tem do ukazania się zakazu prawnego (kapitalny optymizm!). Jestem bowiem pewien, że kto usłucha tej doprawdy szczerej i dobrej rady, nie zawiedzie się z pewnością i będzie mi za nią wdzięczny, jak ja byłem wdzięczny za to tym, którzy mnie do tego skłonili.

Szanujący się myśliwy strzela tylko do kogutów — mawiał zgasły niedawno wieloletni prezes Wil. T-wa Myśl. inż. Doboszyński, jeden z największych myśliwych, jakich dane mi było poznać w życiu. P. Redaktor Garczyński zdradził się w jednym ze swych „przypisków" z tym samym poglądem, spokojny więc jestem, że w całym tym punkcie dyskusji ołówek redaktorski doda conajwyżej jakiś akcent *).

(D. c. n.). LUDWIK RADYŃSKI.

*) Napisał już o tem bardzo dawno w Ł. P. cały artykuł. (Przyp. Red.).



W okresie pielęgnowania wylęgu bażanciego z pożytkiem być może zapoznanie czytelników naszego pisma ze świeżo wydaną przez znaną firmę Paul Parey w Berlinie pracą Roberta Holza pt. *„Neuzeitliche Fasanenzucht"* (Nowoczesna hodowla bażantów). Praca ta obejmuje całokształt zagadnienia, dotyczącego bażanta łownego, jego historję i hodowlę. W tekście zawarto 21 fotografij i szkiców wzorowego zakładania woljer, przechowywania jaj, sposobów polowań z naganką, chwytania drapieżników, aparatów do łowienia bażantów itp. Cena broszury Rm. 3.20.

Niema innego tak pięknego i pożytecznego ptaka łownego, jak bażant. Kto tego szlachetnego ptaka raz w swoim rewirze posiadał, ten niezawsze będzie mógł zaspokoić swe uczucia myśliwskie inną zwierzyną łowną. Niedarmo nazwano go bażantem królewskim. On bowiem jest doskonałym obrońcą naszych kultur i lasów przed niebezpieczeństwem szkodników leśnych, on stanowi ozdobę naszych pól, łąk i lasów. Raduje się dusza myśliwska, słysząc w pogodny wieczór na kilkaset metrów jedno od drugiego, po dwa, po trzy naraz donośne gdakania kogutów, osiadających na drzewach na spoczynek nocny — spodziewa się dobrych polowań.

Ponieważ bażant łowny występuje nietylko na dużych dworskich, lecz rozpowszechniony jest już dziś także na bardzo wielu obwodach małych, dzierżawionych, gdzie mu warunki odpowiadają i gdzie tylko mniej jest trzebiony przez drapieżniki, przeto omawiana książka, oparta na długoletniem doświadczeniu bażantarnika hrabstwa Ganz z Ostrprignitz jest dobrym drogowzkazem hodowlanym zarówno dla posiadaczy dużych rewirów łowieckich, jak i dla myśliwych, którzy pragną podnieść stan bażantów na terenach małych, wziętych w dzierżawę.

Należy to stwierdzić, że niewielu jest tak doświadczonych znawców bażanta łownego, jak Robert Holze, a jeszcze mniej takich, którzyby potrafili wykazać się tak licznemi doświadczeniami i skutkami tych doświadczeń ze sztucznej hodowli bażantów i naturalnej, jak to czyni autor w tej pracy.

Bażant, należący do ptaków kurowatych, znalazł w tej pracy bardzo trafne i wyczerpujące odźwierciadlenie swego życia i rozwoju na przestrzeni całych wieków. Autor z charakterystyczną dla Niemców drobiazgowością i dokładnością traktuje poszczególne rozdziały swej pracy. Nic chyba więcej dodać nie można do opublikowanej treści. Rozpatrując sztuczną hodowlę bażantów według nowoczesnych metod, poprzedzoną obszerną historją bażanta, autor roztrząsa cały szereg zagadnień, a mianowicie: zakładanie bażantarni dla sztucznej hodowli, techniczne urządzenie sztucznej bażantarni, wylęgarnie, wychów i żywienie młodych bażantów, choroby i wrogowie bażantów i ich zwalczanie, łapanie bażantów, pielęgnowanie bażantów w woljerach itp.

Drugą część pracy poświęca hodowli bażantów na dziko. W tej gałęzi bażanciej hodowli znajdujemy systematyczne wskazówki przygotowania terenu do dzikiej bażantarni, puszczanie bażantów na wolny teren itp. Pozatem przytacza cały szereg rozdziałów, dotyczących pożyteczności bażantów, polowań na bażanty i przygotowania do nich, polowań z naganką, sposobów używania psa do polowań główných, zbiorowych, chwytania dzikich bażantów, sprzedaży i eksportu żywych bażantów i jaj zalęgowych.

Wywody swe oparł autor na podstawie dziesięcioletnich obserwacyj i wytrwałej pracy. Osiągnięte skutki doświadczeń pozwoliły mu stworzyć teorję hodowli bażantów, stosowanie której zapewnia w krótkim czasie, bez wielkich kosztów i niewielkiego lecz troskliwego nakładu pracy, podniesienie nietylko stanu liczebnego bażantów, lecz i ich wartości, jako dziczyzny. Temat ujęty został tak gruntownie i praktycznie, że korzyści z niego czerpać może nietylko fachowiec, lub wielki hodowca bażantów, lecz również każdy myśliwy, dzierżawca terenu łowieckiego, który rozporządza zwykłą małą przestrzenią i niewielkim funduszem. Jest to rzecz, że się tak wyrażę, z praktyki dla praktyki. Wszystko, co w tem dziełku zostało zawarte, każdy czytelnik może sobie z łatwością przyswoić i w razie potrzeby przystąpić do racjonalnej hodowli bażantów.

W zakończeniu tej pracy autor czyni pewne ostrzeżenia. Przedewszystkiem zwraca uwagę na to, aby unikać stosowania zbyt różnorodnych metod żywienia młodych bażantów, gdyż bardzo wielu hodowców nie trzyma się jednego sposobu i zmienia dowolnie pokarm, bez zastanowienia nad skutkami swego czynu Pomijając to, że stosowanie różnorodnego pokarmu drożej kosztuje, hodowcy tacy narażeni są na wielkie straty w postaci sztuk padłych. Najlepiej jest zdaniem autora trzymać się jednej metody, którą hodowca uważa na najlepszą i najkorzystniejszą, a których szereg przytacza w tej książce. Zmiana pokarmu winna nastąpić tylko wtedy, gdy przyjęty poprzednio rodzaj nie odpowiada już wskutek wyrastania bażantów. Przyczyną częstego padania młodych bażantów jest również zepsute pożywienie, dlatego też należy uważać, aby pokarm zawsze był świeżo przygotowany i natychmiast oddany do użytku.

Dalej, bażanty nigdy nie mogą być przekarmione; lepiej jest raczej je niedokarmić. Przekarmienie bowiem ma zawsze złe skutki, które nie dają się naprawić. Zjawisko to potwierdza się w zupełności w terenie, gdzie bażant, żyjący dziko, nie ma pokarmu w nadmiarze i zwykle nie dojada, a pomimo to zawsze jest zdrów, jeżeli tylko warunki klimatyczne mu sprzyjają.

Z reguły wielkie znaczenie przy sztucznej hodowli bażantów ma grunt, zawierający lekki żwir, lub piasek, suche łąki, słoneczne i bezpieczne położenie, dostateczna ilość poszycia o wielkiej ilości krzaków jagodowych, dezynfekowanie raz do roku terenu wapnem żrącem, niegaszonem, jaknajwiększa czystość naczyń używanych do karmienia, punktualne karmienie i wreszcie baczne oko bażantarnika, które zawsze winno się dostaczecznie orjentować, czy poszczególne sztuki są zdrowe, by w razie potrzeby w porę zapobiedz szerzeniu się zakaźnej niejednokrotnie choroby. Poza zwalczaniem drapieżników, te reguły stanowią podstawę zdrowotności i trwałości bażantarni.

STEFAN M. MACKIEWICZ.

*

Wśród całego szeregu nowych wydawnictw niemieckich, ukazało się jedno, które zainteresuje niewątpliwie szersze rzesze myśliwych. Wydawnictwem tem jest praca prof. dr. Thienemanna p. t. *„Rositten"*. Wydana przez formę Neumann-Neudamm, cena 3,20 mk., przy sprzedaży poza granicami Niemiec 25% rabatu.

Książka ta jest przewodnikiem turystycznym po Mierzei Kurońskiej. Autor, który przez długie lata był kierownikiem stacji ornitologicznej w Rozewiu, a nawet sam ją założył, opisuje niezmiernie ciekawe początki powstania tej dziś największej stacji na świecie.

Dr. Thienemann jest entuzjastą przyrody, walczy o nią i przez całą książkę opisuje naturę dziką, pierwotną. Przechodząc do opisów z późniejszych czasów, czasów powojennych, utyskuje na postępującą cywilizację.

Dziwne były dzieje powstania stacji w Rozewiu. Zdarzały się niejednokrotnie wypadki, gdy nieświadomość ludzka starała się wszelkimi sposobami uniemożliwić pracę wielkiego ornitologa. Ale człowiek takiej energji i takiego umiłowania przyrody, jak autor wymienionej pracy — umiał zwyciężyć i zwyciężył. I słusznie firma wydawnicza w prospekcie książki pisze, że nazwisko prof. Thienemanna i jego praca powinny być znane w każdej niemieckiej chacie. Ale mojem zdaniem, nietylko w niemieckiej, również i w polskiej, i w każdej innej. Ludzie tej miary, co prof. Thienemann, ludzie tak kochający przyrodę, pragnący ją poznać, są apostołami idei, która musi zwyciężył, która może wreszcie przyniesie ludzkości pokój, miast wiecznych, nigdy nie kończących się wojen.

Jakże pięknie, z jaką miłością pisze autor o przyrodzie, o ptakach i zwierzętach w okolicy Rossitten.

Przytem opisy przyrody zgodne są z rzeczywistością bezwzględną, naukową, dlatego książka ta ma olbrzymie znaczenie wychowawcze. Autor pisze, że cała jego praca, cały jasny po-

gląd w przyszłość oparte są na młodzieży, bo z nią można pracować. Młodzież powstałą piękną ideę przeprowadzi do końca, przeleje na nowe, ustępujące pokolenie i utrwali w szeregach ludzkich.

Oprócz przepięknych opisów przyrody i chwil powstawania stacji ornitologicznej, prof. Thienemann w pracy swej podaje dokładny opis życia mieszkańców Mierzei Kurońskiej. Ludność ta prosta, o niewypaczonych cywilizacją poglądach życiowych, twarda i zahartowana w walce z żywiołem morskim i ruchomemi piaskami, okazała autorowi niejednokrotnie daleko idącą pomoc. Może dlatego to właśnie autor wyraża się o niej w samych superlatywach?

Ze zdziwieniem dowiadujemy się z tej publikacji, że na piaskach łąk, na tej ziemi, gdzie gleba jest nieurodzajna, gdzie tylko gdzieniegdzie rosną kartofle, że tam istnieje cały szereg zwierzyny łownej z łosiem na czele, że kozły osadzają piękne parostki i t. d.

Czytając książkę prof. Thienemanna, chciałoby się zwiedzić Mierzeję Kurońską, poznać jej mieszkańców, zapolować w tych piasczystych miejscach, no i zapoznać się z wspaniałą instytucją, jaką jest stacja ornitologiczna w Rossittem.

I druga refleksja, jaka nasuwa się przy czytaniu tej ciekawej pracy, to zapytanie: czy nie należałoby przetłómaczyć jej na język polski i w ten sposób udostępnić ją naszej młodzieży. Tyle książek ciągle się wydaje, mam wrażenie, że wydawca by się znalazł? M. MNISZEK-TCHORZNICKI.

Niebezpieczna literatura

Grey Owl — „opanował, zawojował Amerykę, rozpoczął tryumfalny pochód przez Europę". Wszędzie się o nim słyszy, wszędzie o nim głośno. Nie można o nim powiedzieć, by książki jego zapełniały wystawy i półki księgarskie. Nie — to byłoby fałszywe określenie. Dla książek tych półka księgarska, czy bibljoteki, to krótki etap przejściowy. Są rozchwytywane, czytane z zainteresowaniem, z przejęciem. Spotykamy się tu z wartością książki bezwzględną, bezpośrednio i silnie działającą na czytelnika.

Grey Owl stał się modny. Bieniasz musi czekać lepszych dla siebie czasów. No, bo nie jest przecież ani Anglikiem, ani Niemcem, ani Indjaninem, ani kryminalistą, a tylko Polakiem i w dodatku nawet jeszcze nie umarł. Ale przepraszam, pamięć Grey Owl'a za tę złośliwość — nie była ona skierowana przeciwko niemu.

O Grey Owl'u czyta się recenzje w różnych czasopismach, — pełne uznania, szczerego zachwytu. I w „Łowcu Polskim" też. I to jest właśnie trochę, powiedziałbym, oryginalne.

Bo przecież Grey Owl wyraźnie mówi: „nie zabijaj!" — przez liczne wieki stosowane — przepraszam, byłbym się źle wyraził. — Przez długi szereg wieków rozumiano, że Bóg, dając to przykazanie, odnosił je do ludzi. Różnie tam bywało i bywa ze stosowaniem się do tego przykazania boskiego w tej interpretacji, ale nie o to tu chodzi. — Grey Owl stosuje to przykazanie dużo, dużo szerzej. Jest zupełnie wyraźnym, zdecydowanym przeciwnikiem zabijania, polowania. Przedstawia siebie, jako „nawróconego" pod tym kątem widzenia człowieka. I — grając bardzo umiejętnie na subtelnych, wrażliwych strunach duszy ludzkiej — rzuca otwarcie hasła przeciw - myśliwskie.

Jak więc tu wobec tego ten wdzięczny petit w „Łowcu Polskim", poświęcony „Szarej Sowie" pogodzić z wieloma artykułami w naszych czasopismach łowieckich — z artykułami wstępnemi o wyraźnie propagandowej treści? Stajemy tu wobec przykładu wyraźnej kolizji pojęć i haseł, i należy wyraźnie określić nasze ustosunkowanie się do danego zagadnienia.

Zapewne, że Grey Owl nie do wszystkich przemówi. Właściwie przemówi, ale bez skutku. Jest liczna rzesza myśliwych, którzy nietylko będą w dalszym ciągu polować, ale, co gorsza, polować jak dotychczas. Strzelać na 100 — 120 (wyraźnie: sto — stodwadzieścia) kroków, kalecząc i skazując na męczeńską śmierć zwierzynę, oraz gromadzić na swem sumieniu łowieckiem szereg innych grzechów względem tej bezbronnej przeważnie zwierzyny!... Z tymi myśliwymi będzie, niestety, długo zapewne jeszcze, jak to mówią: „Pip swoje, a czort swoje".

W omawianej lekturze tkwi jednak inne niebezpieczeństwo. Boję się o to, by Grey Owl nie wytrącił broni z ręki niektórym prawdziwym myśliwym, myśliwym „szanującym zwierza", jak głosi dedykacja pewnej książki myśliwskiej. By przykład Grey Owl'a, by hasła przez niego rzucane nie wywołały, trafiając gdzieniegdzie na podatniejszy grunt, nawet drobnej jakiejś „epidemji", ta bowiem objęłaby bezsprzecznie tylko niektóre jednostki z pierwszych pod względem wyrobienia etycznego szeregów myśliwskich. — A wątpię, bym przesadzał, jeśli powiem, że strata każdego prawdziwego myśliwego, to cios w łowiectwo polskie, w jego zdrowe idee. Przecież tylko ich przykład osobisty, ich wpływ bezpośredni na tych nie mających pojęcia o etyce myśliwskiej „strzelaczy", których tylu się w ostatnich czasach, niestety, napłodziło, może stopniowo — miejmy nadzieję — poprawiać sytuację, wprowadzać zdrowsze formy w myślistwie.

Wydaje mi się więc właściwem zaopatrzenie tej, jak ją nazwałem, niebezpiecznej literatury w odpowiednie komentarze oraz zdefinjowanie następującego w danej kwestji stanowiska. — Zachwycamy się Grey Owl'em, możemy go nawet w pełni rozumieć. Ale uważamy, że prainstynkt łowiecki tkwi w wielu z nas bardzo mocno jeszcze i że łowiectwo będzie istniało i będzie „uprawiane" — to nie ulega najmniejszej wątpliwości — długie jeszcze wieki. Ma ono zresztą, mimo racji wysuwanych przez Grey Owl'a, swoje bezsprzeczne dodatnie strony, z powodu których jest wykluczone jego zwalczanie na szerszą skalę, zwalczanie wszystkich jego form. Grey Owl jest jeden, może być takich kilku. Ale myśliwych „normalnie" polujących są i nadal będą grube tysiące, a j a k i c h — to będzie właśnie zależało w dużej mierze od tych, którzy po przeczytaniu „Pielgrzymów Puszczy" spojrzeli z zadumą na swoją strzelbę, lub na wpatrzonego w swego pana czworonogiego przyjaciela.

Niech więc ten pierwszy szereg myśliwych nie rzednie!

LUDWIK RADYŃSKI.

*

Kolizji haseł niema. I my myśliwi wołamy: nie zabijać, t. j. nie zabijać bez potrzeby i nie zabijać wtedy, gdy to może być groźne dla istnienia pewnego gatunku. Ale zabijać trzeba. Bez tego rozmnożyłyby się nadmiernie pewne gatunki zwierząt, wyrządzając poważne szkody w gospodarce leśnej i rolnej człowieka. Pozatem względy gospodarcze każą zabijać, jako sposób rozumnego korzystania z darów przyrody. A czy dla potrzeb człowieka zabita zostanie swojska czy dzika kaczka lub kura, to z punktu widzenia poruszonych uczuć — wszystko jedno. Zabijanie, wzajemne zjadanie się, śmierć — są prawami przyrody, nie człowiek je wymyślił i nie człowiek je usunie ze stosunków w przyrodzie. Chodzi o to, by tych sił i środków, któremi dysponuje, nie nadużywał, by umiał współżyć z żywą przyrodą i bezmyślnie jej nie niszczył. Ale bez myśliwych i łowiectwa wiele przedstawicieli fauny już dawno zginęłoby na kuli ziemskiej. Bo myśliwi, choć sami strzelają, ale też oni jedni łożą poważne kwoty na utrzymanie i ochronę zwierzyny, oni jedni myślą o jej potrzebach i warunkach bytu. Samemi pięknemi hasłami nie wyżywi się zwierzyna w swoich ostojach. A że wrodzona żyłka zabijania i zdobywania aż nazbyt często ciągnie myśliwego poza dopuszczalne granice, dawka Grey Owl'a nie zaszkodzi. (Przyp. red.).

ROZMAITOŚCI

MIĘDZYNARODOWE ZAWODY.

Na międzynarodowe zawody w strzelaniu do rzutków w Czechosłowacji wyruszą prawdopodobnie wszyscy podani w Nr. 22 Ł. P. zawodnicy polscy, tworząc 2 ekipy po czterech i 2-ch rezerwy.

A zatem pojadą pp.

1. W. Ziegenhirte
2. J. Kiszkurno
3. St. bar. Rosenwerth
4. K. Koschembahr-Łyskowski
5. K. Kitzman
6. St. Czerski (sen.)
7. T. Obutelewicz
8. W. Jeziorowski
9. Mjr. S. Sztukowski
10. W. Kołaczkowski.

Jest to reprezentacja wyborowa i wielce obiecująca.

ŁOWIECTWO NA JARMARKU POLESKIM

W ramach III Jarmarku Poleskiego, jaki odbywać się będzie w dniach 15 sierpnia — 3 września r. b. w Pińsku wystąpi łowiectwo po raz pierwszy.

Polesie, kraina polowań, ukaże swe możliwości rozwojowe, prezentując zarazem swój dobytek w tej dziedzinie.

Eksponaty, których zgłoszono do chwili obecnej ponad 500, znajdą pomieszczenie w nowowzniesionym przez Komitet Jarmarku pawilonie. Nadmienić należy, iż organizatorom Działu Łowiectwa na Jarmarku Poleskim udało się zapewnić udział w wystawie szeregu eksponatów, które na zeszłorocznej wystawie w Berlinie były przedmiotem ogólnego zainteresowania.

Podczas Jarmarku, a mianowicie w dniu 28 sierpnia r. b., odbędzie się w Pińsku zjazd myśliwych, w którego programie, prócz części oficjalnej, zorganizowane zostaną zawody w strzelaniu do rzutków oraz w godzinach wieczornych — dancing-bridge.

Mamy nadzieję, że z uwagi na atrakcyjność Polesia, tej krainy wód i egzotyki, myśliwi z całej Polski wezmą udział w organizowanych przez Oddział Poleski P.Z.Ł. imprezach, co ich zaznajomi i zbliży z Kolegami z tego rejonu.

KAROL RADZIWIŁŁ.

JESIENNE PRÓBY POLOWE.

W dniu 25 września r. b. *Pointer Klub w Polsce* urządza jesienne próby polowe dla wyżłów angielskich ras.

Do sądzenia psów zostali zaproszeni: S. Czerski, I. Grymiński, K. Kamieński i J. Wodziński.

Wpisowe wynosi zł. 15.—, dla członków Stowarzyszeń zrzeszonych w M. K. K. — zł. 10.—

Zgłoszenia psów do dnia 17 września włącznie przyjmuje p. S. Mackiewicz w Redakcji „Łowca Polskiego" (Nowy Świat Nr. 35, tel. 666.29).

Szczegółowe dane będą ogłoszone dodatkowo.

*

Sekcja kynologiczna przy Krakowskim Oddziale M.T.Ł., wraz z Towarzystwami Łowieckiemi w Krakowie, urządza w dn. 11 września b. r. jesienne próby polowe dla wyżłów ras angielskich i kontynentalnych w dwóch odrębnych klasach, podług regulaminu ogłoszonego w r. 1933 w „Łowcu Polskim".

Obok nagród honorowych przeznaczone są nagrody pieniężne w kwocie 100, 50 i 30 zł. w każdej klasie.

Do sądzenia psów zaproszono następujących Członków Kolegjum Sędziowskiego M.K.K.: PP. M. Bielawskiego i J. Robla w asyście p. K. Warzyckiego.

Wpisowe wynosi zł. 15, dla członków Stowarzyszeń zrzeszonych w M.K.K. zł. 10. Zapisy psów przyjmuje i informacyj udziela p. Dr. J. Jakóbiec, Kraków al. Mickiewicza 21.

Teren prób: Zielonki i Tonie pod Krakowem. Początek prób 8 godz 15, dojazd osobnym autobusem. Ostatni termin zgłaszania psów 5.IX. b. r.

*

Pomorski Oddział Wojewódzki Pol. Zw. Łowieckiego organizuje w dn. 12 i 13 września r. b. pokaz i konkurs wyżłów ras niemieckich krótko- i szorstkowłosych.

Próby polowe odbędą się na zasadach regulaminowych; przyjętych przez P. Z. Ł. (vide „Kalendarz myśliwski").

Zgłoszenia na pokaz i konkurs nadsyłać należy p. a. Dr. Jan Łukowicz, Chojnice.

Sprawozdanie z pow. Opatów woj. Kieleckiego

Powiat opatowski, tak bogaty pod względem glebowym, jest jednym z uboższych powiatów, jako teren łowiecki. Wilgotne lossowe gliny, położone w przeważnej części na stokach Gór Świętokrzyskich; wysokie położenie, a co za tem idzie późna wiosna oraz zbytnia obfitość opadów, tak deszczu jak i śniegu; duże spadki, sprzyjające zalewom niżej położonych miejsc, jak i zmulanie stoków — wszystko to wstrzymuje zagęszczenie się zwierzostanu, niszcząc go motylicą, topieniem młodych wylęgów, oraz utrudnieniem przezimowania, wobec corocznej, paromiesięcznej pokrywy śnieżnej.

Nieco w lepszem położeniu jest północna część powiatu, gdzie wzgórza przechodzą w równiejsze tereny, a gleba staje się cieplejszą, zmieniając się stopniowo za rzeką Kamienną w przypiasczyste ziemie.

Lasy znajdują się jedynie na krańcach powiatu: rządowe Malkowskie i Łagowskie na zachodzie graniczą z lasami pow. kieleckiego, zaś prywatne na północy powiatu ciągną się od Ożarowa aż pod Kunów, idąc granicą sąsiednich powiatów: iłżeckiego i kozienickiego.

Oczywiście i rozmieszczenie zwierzyny stosuje się ściśle do terenowych warunków. Grubszy zwierz jest tylko na krańcach powiatu. Dzik i jeleń przebywa w lasach Bałtowskich, Ostrowieckich, Bodzechowskich, jako przechodni pokazuje się też w lasach Świętokrzyskich i sąsiadujących z niemi. Prócz tego przez całe lato trzyma się kilkanaście sztuk jeleni w maj. Szumsko koło Rakowa, gdzie znajdują wyjątkowo dobre warunki bytu; na zimę odchodzą do większych kompleksów leśnych ku Kielcom.

Sarny, prócz wyżej wymienionych większych terenów, są wszędzie, gdzie tylko jest kawałek lasu i troskliwa opieka. Większa ilość przebywa w Czyżewie koło Ożarowa, w Międzygórzu — Słaboszowicach, Szumsku, Plancie, Janiku, Sadłowiźnie oraz w Łagowskiem nadleśnictwie.

Zając i kuropatwa rozmieszczone są wszędzie; im gleba cieplejsza i równiejsza, tem więcej ich się znajduje. Najlepsze zwierzostany drobnego zwierza są między Opatowem a Ożarowem. Cietrzewie spotykają się na północy od Ostrowca i Bodzechowa; dzikie kaczki wyjątkowo — wzdłuż rzek; bażantów jest dotąd niewiele — kilka zaledwie hodowli w całym powiecie.

Powiat opatowski składa się z 24 gmin, które są w liczbie od 2 do 4 przydzielone pod opiekę poszczególnych Podłowczych. Członków rzeczywistych Pol. Zw. Łowieckiego obecnie jest w powiecie 40.

Łowczy i 7 Podłowczych pozostają w ścisłym kontakcie z władzami powiatowemi, u których znajdują życzliwe poparcie w częstych starciach z kłusownictwem.

Kart łowieckich w tym roku wydano 215. Odmówiono 32 petentom. Za kłusownictwo ukarano w powiecie 74 osoby; za polowanie na niezarejestrowanych terenach — 59. Odebrano broni myśliwskiej 81 sztuk.

HENRYK RUDZKI
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

W SPRAWIE ZAWIERANIA UMÓW NA DZIERŻAWĘ POLOWANIA.

Panu R. M. w Berezie Kartuskiej.

Zdarza się, że umowy na dzierżawę polowania w obwodach łowieckich wspólnych, zawierane i podpisywane są przez rady gromadzkie, składające się z dziesięciu lub więcej osób, upoważnionych przez gromadę do rozmaitych czynności administracyjnych i gospodarczych.

Zwłaszcza często zdarza się, że po wyekspirowaniu umów na dzierżawę polowania i wygaśnięciu z upływem lat sześciu mandatów zarządu spółki łowieckiej, przedłużenie dawnych umów dzierżawnych, lub zawieranie nowych umów na następne okresy prawne, dokonywane jest za podpisami rady gromadzkiej.

Prolongaty takie i umowy mocy prawnej nie posiadają, gdyż zgodnie z art. 20 prawa łowieckiego z dn. 3.XII. 1927 r. (Dz. Ust. 110/27 poz. 934) muszą być zawierane i podpisywane przez Zarząd spółki łowieckiej, złożony z trzech członków (przewodniczącego i 2-ch członków), a to na mocy § 16 p. 2 statutu wzorowego, nadanego spółce przez Starostwo powiatowe.

Ze względów praktycznych, zainteresowani dzierżawcy powinni dopilnować, aby gromada przy wyborze trzech członków zarządu spółki łowieckiej jednocześnie wybierała i dwóch zastępców, zgodnie z §. 14 statutu wzorowego.

JÓZEF SKRZYPEK.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA KOMITETU WYKONAWCZEGO Z DNIA 21 LIPCA 1938 R.

Obecni P. P.: Przewodniczący Prof. Józef Gieysztor, Red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, Józef Skrzypek, Kazimierz Świderski; protokół prowadził Jerzy Bokiewicz.

Protokół posiedzenia Komitetu Wykonawczego z dnia 3 czerwca r. b. przyjęto bez zmian.

Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych zwróciło się do Związku o opinję w sprawie zamierzonego zamknięcia na przeciąg lat trzech polowań na pardwy oraz rozszerzenia czasu ochronnego dla cietrzewi.

Jednocześnie Wileńska Oddziałowa Rada Łowiecka przedłożyła Komitetowi Wykonawczemu wnioski, uchwalone na Walnem Zgromadzeniu Oddziałowem w Wilnie, a dotyczące czasu ochronnego dla cietrzewi - kogutów i kur oraz słonek.

Komitet Wykonawczy uchwalił złożyć Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych:

1. wniosek o rozszerzenie na przeciąg lat trzech czasu ochronnego dla pardw tak, aby obejmował on okres od 1 lutego do 31 sierpnia;

2. wniosek o rozszerzenie czasu ochronnego dla cietrzewi-kogutów tak, aby obejmował on

a) w województwach wileńskiem i nowogródzkiem — okres od 1 grudnia do 15 marca i od 1 czerwca do 31 sierpnia,

b) w województwach pozostałych — okres od 1 grudnia do 15 marca i od 1 czerwca do 15 sierpnia;

3. wniosek o rozszerzenie w województwach wileńskiem i nowogródzkiem czasu ochronnego dla cietrzewi - kur tak, aby obejmował on okres od 15 września do 31 sierpnia.

Wnioski Oddziału Wileńskiego, dotyczące przesunięcia okresu polowań na cietrzewie - kury i słonki — nie mogą być zrealizowane w ramach obecnie obowiązującego prawa łowieckiego.

Instytut Badawczy Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych zawiadomił Związek o działalności pracowni bakterjologiczno-łowieckiej w Białowieży oraz nadesłał skrzyneczki, przeznaczone do przesyłania części padłej zwierzyny w celu zbadania chorób.

Komitet Wykonawczy postanowił zamieścić o tem wiadomość w „Łowcu Polskim" oraz powiadomić Oddziały Związku.

ZMIANY WŚRÓD ŁOWCZYCH I PODŁOWCZYCH NA ŚLĄSKU.

Zwolniono na własną prośbę z obowiązków Łowczego Powiatowego na powiat Świętochłowice p. inż. Dalbora Bolesława, Chorzów I, ul. Cmentarna 23.

Na posiedzeniu Śląskiej Rady Łowieckiej w dniu 27.VI.1938 r. powierzono funkcję Łowczego Powiatowego na powiat Świętochłowice p. inż. Marquardtowi Erykowi, Chorzów, ulica Bytomska 50.

Na własne żądanie zwolniono z funkcji Podłowczego na powiat Rybnik, p. Byśka Zdzisława, aptekarza, Rybnik, Rynek 15.

Na posiedzeniu Śląskiej Rady Łowieckiej P. Z. Ł. mianowano Podłowczymi na powiat Rybnik pp. Topiasza Franciszka, Łaziska, poczta Godów, i inż. leśn. Sokołowskiego Tomasza, Rybnik, Nadleśnictwo lasów państwowych.

Śląska Rada Łowiecka P. Z. Ł.

TREŚĆ NUMERU:

MYŚLIWI

zbierajcie

wystrzelone

łuski na F. O. N.

i oddawajcie je Łowczym Powiatowym

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28; miesięcznie zł. 2,50. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał zł. 6; za pół roku zł. 12; za rok zł. 24; miesięcznie zł. 2. Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

OGŁOSZENIA DROBNE